

BIBLIOTEKA
KATEDRY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU
32 STRONY



ziemia

• ROK II • NR 12 (14) • GRUDZIEŃ 1957 • 5 ZŁ •

przedstawia taternika jaskiniowego wspinającego się po drabinie podczas wyprawy odkrywczej w podziemia Tatr. Przeczytacie o tym na str. 10.



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAZDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicą w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPRZEDNIE NUMERY ZIEMI

Numery z roku 1957 — można nabywać we „Wzorcowni” Państw. Wyd. Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać można w sklepach antykwarecznych „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12. Dział Sprzedaży Prasy Antykwarecznej.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,2,3, rocznie 1,8,9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — LA 0,2,7, rocznie 1. 10,7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miastkich i gorodskich Oldielach Sojuzpoczati” NRD — Zeitungsvertriebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. I, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne, Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Litteraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleye, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.

ziemia

Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — MARIAN KORNECKI i LESZEK DZIĘGIEL, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŁSKI, układ graficzny — MACIEJA KUCZYŃSKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład 18.005. Zm. nr 666/57. M-00. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

Wejdźmy w dzień wilii do izby wiejskiej w Krakowskiem. Ze stropu zwisają małe wianeczki słomy, „kopy”, zatknięte za podtrzymujące sufity belki. Do stragarza przybita jest zrobiona ze słomy gwiazda i słomiany krzyż, w kącie stoi snop z zębami. Stół zaścielono warstwą przywiązanej powrośkami słomy. Jeśli dom jest murowany, to kopy zatknięte są za obrzy, a gwiazda przybita nade drzwiami.

U sufitu zawieszają wieśnia-

Azję, Afrykę do południowej Europy i przez kraje romańskie i germańskie do słowiańskich należy do zadań bardzo trudnych, a nieraz niewykonalnych.

Zjawiska zachodzące w przyrodzie w okresie przesilenia zimowego niepokoiły umysł człowieka pierwotnego i nastrojały go trwożliwie. W okresie długich nocy uzyskiwały swą moc złe duchy. Zjawiały się wtedy i duchy przodków, dla których przygotowywano wieczerzę — dzisiejszą naszą wilię. Przesi-

poła możemy zauważyć sterczące „kopy”. Gwiazdę spala się w dzień Trzech Króli, a krzyż pozostaje w izbie aż do Wielkiego Piątku wielkanocnego. Ziarno z wymłóconego snopa miesza się z ziarnem siewnym. Jodelka ma chronić przed złymi duchami.

Ta właśnie jodelka („sad” lub „podłaznica”) spełnia jeszcze inną rolę. Staje się pośrednikiem małżeństw. Przynosi ją z lasu gospodarz, ale ozdabiają, czyli „wiją” — dziewczęta. Po

NA PODŁAZY

LEOPOLD WĘGRZYŃCZYK

cy młodą jodelkę wierzchołkiem ku dołowi i ozdabiają ją opłatkami, „światem” z opłatków i jabłkami. Zwią ją „sad”. Tak sama jodelka we wsiach góralskich nazwana będzie „podłaznica”. Także w stajniach zawieszają jodelki bez ozdób, a gałązki jodłowe przybijają nad drzwiami wejściowymi domów i stajen.

W zwyczajach ludowych związanych z różnymi świętami wyróżnić możemy zasadniczo dwie warstwy. Młodszą, chrześcijańską, i starszą, sięgającą tradycjami starożytnych cywilizacji bliskiego i dalekiego Wschodu. Zwyczaje przenosiły się podczas wędrówek ludów, albo byływ zaszczeplane ludom podobnym przez zwycięzców. Wskazanie dróg, którymi poszczególne zwyczaje wędrowały przez Małą

lenie zimowe jest także momentem „zwycięstwa słońca”, symbolem budzenia się nowego życia. Rolnik starożytny starał się wówczas o pozyskanie dobrych sił, zapewnienie rozwoju dobytku i pomyślnego urodzaju.

„Kopy” i „podłaznice”, snopki i gwiazdy są symbolami, pozostałością prastarych zabiegów magicznych. Tyle ile „kóp” rozmieści rolnik w dzień wilii w swej izbie — tyle pragnie zebrać kóp zboża w przyszłych zbiorach. Znak krzyża i gwiazda mają chronić od złych wpływów. Snop zboża umieszczony w kącie da ziarno do przyszłych siewów.

W Nowy Rok parobek przed wschodem słońca zbiera „kopy”, dosiada konia i wywozi je na pola zasiane oziminą. Nieraz w zimie jadąc przez ośnieżone



Słomiany krzyż zatykany we wigilię na ozimych polach w Bronowicach.

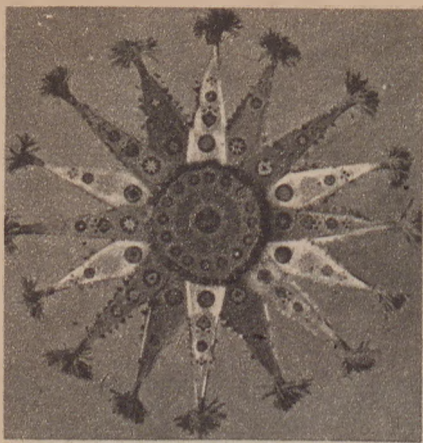
Głowa turonia — Muzeum Etnograficzne w Krakowie



północy w dzień św. Szczepana zjawiają się parobcy na zalogi — „podłaznicy”. Oznajmniają, że chcą kupić „sad”, a gdy dziewczyna się zgodzi, chłopcy przynoszą wódkę a dziewczęta pieczywo i rozpoczyna się zabawa. Zakupienie „sadu” jest wstępem do dalszych starań o dziewczynę.

Zwyczaj „chodzenia na podłazy” znany jest w południowej Polsce i nie przekracza — zdaje się — Wisły. Znany jest także na Słowaczczyźnie, u południowych Słowian a także na Kaukazie. Być może więc ten charakterystyczny zasięg wyznacza drogę, którą zwyczaj wędrował do nas z południa.

Do zwyczajów przedchrześcijańskich należy także przebieganie się za zwierzęta. Oprócz „przebiegania” znany także z zapisków dawnych etnografów i autorów (jak np. Mikołaj Rej, Wacław Potocki) zwyczaj składania życzeń noworocznych przez wieśniaków, którzy obchodzili domy prowadząc ze sobą schwytanego młodego wilka lub niedźwiedzia. Do dziś niemal przetrwał także zwyczaj składania życzeń w „asyście”



Gwiazda kołędników z Juszczyzna w pow. myślenickim.

zwierząt domowych. W Żywiecczym „podłaźnik” składający zyczenia wjeżdża do izby na koniu. Na Słowaczczyźnie wprowadzają przy tej okazji do izby barana lub byczka. Na Ukrainie przyprowadzano różne zwierzęta domowe, jak: konia, byczka, barana, koguta, wszystkie przybrane we wstążki i kolorowe szmatki. Składaniu życzeń towarzyszyły odpowiednie przemowy i przyśpiewki.

I ten zwyczaj jest pozostałością dawnych zabiegów magicznych. Wilk i niedźwiedź — to mocne zwierzęta, zdolne odegnać od gospodarstwa złe moce. Koza, byk, koń i bocian — to zwierzęta poświęcane niegdyś szczęśliwym bogom. Ich obecność w dniu święta miała zapewnić na rok następny powodzenie w hodowli.

O zwyczaju przebierania się za wilka wiemy niewiele. Prof. K. Moszyński stwierdził występowanie tego zwyczaju jeszcze w początkach naszego stulecia w okolicach Świecia, Łowicza, Włocławka i Rybnika. Bliższych szczegółów brak. Jednak z drobnych notatek rozsianych w dawnej literaturze możemy wnioskować, że zwyczaj ten był niegdyś powszechnie znany w całej Polsce.

Natomiast przebieranie się za niedźwiedzia dotrwało do dziś w całej Polsce. Związane jest ono z różnymi świętami. Niedźwiedź pojawia się w okresie Bożego Narodzenia na Podhalu

i w Żywiecczyźnie w grupie tzw. „Dziadów”, podobnie jest na Pomorzu. Natomiast w Wielkopolsce przebierają się za niedźwiedzia w zapusty i na Wielkanoc.

Interesujący jest zasięg zwyczaju, polegającego na obchodzeniu wsi w okresie Bożego Narodzenia z „koniem” lub „kobyłą”. Znotowano go w województwach położonych wzdłuż biegu Wisły od południa Polski aż po Pomorze. Tułów owego konia formuje się ze starej kosałki, do której przymocowuje się szyję z głową końską. W otwór znajdujący się w środku tułowia wchodzi stojąc jakby jeździec, tułów-kosałkę okrywają płachtą. Taki „koń” żywo przypomina znanego krakowskiego Lajkonika, który jednak występuje dopiero w oktawę Bożego Ciała.

„Turonia” obserwujemy w województwach: krakowskim, rzeszowskim, kieleckim i lubelskim. „Kozę” natomiast — w całej Polsce poza wymienionymi województwami. Przypuszczać więc można, iż oba te równoległe zwyczaje przysły do nas z różnych kierunków. Turon — z południa, zaś koza — z krajów zachodnich. Kołędnicy przebierają się za kozę lub turonia w ten sposób, że na drążku trzymają wystruganą z drewna podobiznę głowy zwierzęcia ze stosownymi rogami, przykrywając się płachtą lub kożuchem obroconym wełną na wierzch.

Charakterystycznym momentem inscenizacji widowisk bożonarodzeniowych, w których występują „zwierzęta” jest scena, gdy zwierzę upada i niby zdycha. Ale jeden z uczestników przywraca je do życia stosując zabiegi magiczne. Możemy przypuszczać, że jest to dawna pozostałość symbolicznego przedstawienia pozornej śmierci przyrody w zimie i jej zmartwychwstania pod wpływem zwycięskiego słońca, a więc istotna treść starożytnych obrzędów, związanych z zimowym przesileniem.

Przebierańcy w Chomranicach, pow. N. Sącz



EKSPONAT I TURYSTYKA



Wnętrze statku angielskiego zamienionego obecnie na muzeum.

T A D E U S Z Ż Y C H I E W I C Z

Ideą muzealnictwa w zakresie sztuki jest, jak wiadomo, zebranie możliwie dużej ilości dzieł i ich ekspozycja przy zastosowaniu kryteriów rodzaju (malarstwo, rzeźba, przemysł artystyczny etc.), czasu powstania i kręgu artystycznego, do którego należą. Działają tu w pierwszym rzędzie intencje poznawcze i naukowo-dydaktyczne; chodzi mianowicie o ułatwienie kontaktu z dziełem sztuki specjalistom i miłośnikom. Intencją w pewnym sensie wtórną jest chęć zabezpieczenia zabytku i zapewnienia mu optymalnych warunków konserwacji.

Długa była droga, prowadząca od dawnych zbiorów typu pamiątkarskiego i galerii pieczolowicie dobieranych przez wysoko urodzonych koneserów — do obecnych muzeów, instytucji naukowo-społecznych. Muzeologia jest dziś osobnym działem wiedzy, „samej z sobą” zajmującej się m. i. badaniem i ustalaniem optymalnych warunków ekspozycji — od budowy specjalnych gmachów muzealnych, poprzez warunki oświetlenia i systemy klimatyzacji do drobiazgowego opracowania szczegółów gablot, napisów orientacyjnych etc.

Nie będę mówił o zaletach współczesnych metod kolekcjonowania, zwróćmy raczej uwagę na to, co w naszym muzealnictwie budzić musi wątpliwości a wymaga dyskusji i ewentualnej rewizji poglądów.

Nowoczesne muzea w bardzo wielu wypadkach mumifikują dzieła sztuki. Każde dzieło sztuki — obraz i rzeźba, ołtarz i tkanina — tworzone były z myślą o przyszłym konkretnym otoczeniu, o funkcji, którą ma pełnić w tym otoczeniu. Przeniesienie owego dzieła w otoczenie inne, sztuczne, osadzenie go w tle choćby tylko neutralnym — w wielu wypadkach odbiera mu życie, zamienia w mniej lub więcej martwy „ekspонат”. Nawet przy optymalnych warunkach oświetlenia i najbardziej kulturalnym skomponowaniu tła. Ołtarz Wita Stwosza rozebrany na części, ustawiony w bezbarwnym świetle razi bezsenssem gestów figur oderwanych od siebie i od całości kompozycji. Ten sam ołtarz zmontowany w organiczną całość, ustawiony na tle prześwietlonych słońcem witraży mariackich nabrał sensu, mówi o swoim twórcy i jego epoce z całą pewnością więcej i pełniej, choć „pod muzealnym kątem widzenia” warunki oświetleniowe są nieporównanie gorsze. I nie jest to kwestia wyłącznie wielkich dzieł sztuki. Naiwny Chrystusik Frasobliwy z polnej kapliczki straci połowę swej ekspresji w chłodnym muzealnym wnętrzu, a góralska malowanka na szkle może być obiektywnie bohomazem — ale jakże ów bohomaz żyje w autentycznym wnętrzu góralskiej chaty!

To jedna sprawa. A druga: kwestia możliwości i kresu ludzkiej zdolności przyjmowania wrażeń. Montowanie olbrzymich wszechogarniających muzeów, których ekspozycja obejmuje wszelkie rodzaje sztuki i wszystkie epoki — daje ośrodkom miejskim, czy instytucjom muzealnym tytuł do chwały, powoduje krystalizację poważnych ośrodków naukowych — ale równocześnie obawiać się należy, że przekreśla społeczną funkcję muzealnictwa. Najbardziej zagorzały miłośnik sztuki, jeśli tylko ma szczyptę rozsądku — z góry poprzestanie na przegłądzie paru zaledwie wybranych przez siebie sal, gdyż zdaje sobie sprawę, że zapoznanie się z całością przekracza możliwości percepcyjne ludzkich zmysłów. W praktyce jednak kompletnie „skołowane” gromady ludzkie, przebiegają w parę godzin amfilady sal. Wynoszą z nich niedosyt, zmęczenie i kompletną prawie niepamięć. Powinno to być brane pod uwagę choćby z tego prostego powodu, że jednym z założeń nowoczesnego muzealnictwa jest właśnie „służba społeczna”: w tym wypadku założenia nie są zgodne z efektem.

Dalej: Można się zgodzić, że w pewnych warunkach przeniesienie dzieła sztuki do muzeum jest jedynym środkiem uratowania go. Tak bywa w bardzo wielu wypadkach, ale nie zawsze. Bywa też i tak, że władze muzealne przejawiają niezwykle instykt „chomikowania”. Dolny Śląsk np. został z dużą precyzją „ogolocoony” przez warszawskie Muzeum Narodowe. Zniweczono wiele wartości decydujących w dużym stopniu o atrakcyjności tamtejszej turystyki — po to tylko, by w przepastnych magazynach Muzeum w dalekiej stolicy pojawiły się dalsze stronicie inwentarza. Wytwarza się stan niezbyt zdrowy: restaurowane wnętrza śląskich kościołów zięcia kliniczną pustką — a w dalekich magazynach, ustawione w równych rzędach — mumifikują się śląskie dzieła sztuki. Można się zgodzić z tezą że muzeum stołeczne powinno rozporządzać retrospektywnym przegłędem sztuki całego kraju; nigdzie jednak nie jest powiedziane, że cały kraj należy zamknąć w jednym magazynie.

A teraz pozwólm sobie na małą przerwę i zerknijmy na moment za naszą polską miedzę.

We Francji jednym z głównych inwestorów w zakresie ochrony zabytków architektury i organizacji akcji muzealnej jest... koncern samochodowy Renault. Nie z miłości do zabytków i muzealnictwa, lecz z prostego wyrachowania. Renault restauruje zabytkowe zamki i pałace na prowincji, kościoły i stare domy mieszczańskie. Zatrudnia przy tych pracach historyków sztuki i architektów, rzemieślników i artystów. W porozumieniu z władzami państwowymi zakupuje w magazynach muzealnych autentyki — obrazy, rzeźby, meble, wytwory rzemiosła artystycznego, umieszczając je w zrekonstruowanych, względnie odrestaurowanych wnętrzach. Tworzą się żywe, prowincjonalne muzea — i znów znajduje zajęcie cała armia konserwatorów i nau-

NIECO O KARCZMACH

Jako podróżnik (wymiarów pickwickowskich) jestem ogromnym zwolennikiem „działu poczt”. Co więcej zajmuję się karczmami i zajazdami niejako fachowo. Nie od strony propinacji lecz architektury. W związku z tym przejechałem w bieżącym roku około 5000 km w poszukiwaniu zabytkowych zajazdów. Niestety — droga moja była usiana wybojami, gwoździami (tymi od dętek) i już tylko ruinami dawnych karczm. Im piękniejsze, im „starożytniejsze” budowle — w tym gorszym odnajdywałem je stanie. Powierzchnowy obserwator wyciągnąłby stąd wnioski, że lud polski odsunął się ze wstrętem od złych — karczemno-wyszynkowych tradycji narodowych. Niestety, gospody pełne są zawianych obywateli, natomiast dawne przybytki ojczyznych nałogów walą się w gruzy. Wolałbym zaiste aby było odwrotnie.

Otóż niemal wszystkie najpiękniejsze stare karczmy na terenie kraju (za wyjątkiem tych, które w województwie krakowskim trwają pod czujnym okiem konserwatora dr Pieńkowskiej) znajdują się w stanie co najmniej rozpaczliwym. Dla przykładu wymienię kilka:

STRZYŻEWICE (pow. Bychawa — pod Lublinem). Klasyczny przykład karczmy z zajazdem (równoległym do budynku mieszkalnego) z drewnianym podcieniem wzdłuż ściany frontowej. Dach do połowy zawalony. Nie przetrwa roku w tym stanie.

KROCZEWO (pow. Płońsk). Tak zwana „Stara poczta królewska”. Wielki budynek przypominający dawne dobre czasy, kiedy to za króla Stasia poczty polskie osiągnęły wcale europejski poziom. Niestety — widok na załączonym obrazku mówi za siebie.

PROMNA (pow. Białobrzegi). Wspaniała ogromna budowla z podcieniem kolumnowym w części elewacji środkowej. Przed pół wiekiem analogiczny podcień znajdował się po drugiej stronie tej bardzo długiej budowli (o czym świadczy zdjęcie w książce „Wieś i Miasteczko”). Niestety, wkrótce już nie będzie nawet tego co dzisiaj można obejrzeć. Dach jest częściowo pozbawiony pokrycia, przegniły, a niektóre stropy już się zawaliły.

RAKOŁUPY. (pow. Krasnystaw — jechać przez Małochwiej Duży). Ogromna karczma — a raczej poczta przy skrzyżowaniu traktów. Budynek wymiarami i ukształtowaniem nie gorszy od wielu zamożniejszych dworów, z ogromnym „hangarowym” stanem od tyłu. Niestety bez dachów i w ruinie. Stan jeszcze służy jako stodoła. Nie na długo...

PODSUMOWANIE: Żalossne. Za kilka lat nie będzie już w Polsce dawnych karczem i dzieci czytające w szkole Pana Tadeusza nic a nic nie rozumieją z zawartej w IV ks. apostrofy Wieszcza. Z drugiej strony w wielkim respekcie mam fabrykowane w Warszawie nowe zabytki, ale nie rozumiem, że konserwator warszawski nie może znaleźć tych stosunkowo niewielkich funduszy, by uratować przynajmniej Promną i Kroczewo, skoro dopuścił już do zniszczenia Borowej. Równie cenię stary Lublin, ale doprawdy mam bardzo za złe konserwatorowi lubelskiemu, że pozwala rozsypywać się Rakolupom i Strzyżewicom. Jeszcze jest czas na ratunek! Ale czas ostatni.

TADEUSZ CHRZANOWSKI

I ZAJAZDACH

Karczma z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia:
Korab, istna Noego czworogranna skrzynia,
Znany dziś pod prostackim nazwiskiem stodoły;
Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,
Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady
I płazów choć po parze, są też i owady.

(„Pan Tadeusz”, księga czwarta)



BITWA POD RASZYNEM

Kiedy wieczorem 14 kwietnia 1809 roku arcyksiążę Ferdynand zawiadomił księcia Józefa Poniatowskiego o wypowiedzeniu wojny, fakt ten dla członków rządu Księstwa Warszawskiego nie był zaskoczeniem. Od szeregu bowiem miesięcy wiadomym było, że Austria gorączkowo szykuje się do wojny z cesarstwem Napoleona, żadna odwetu za poniesioną klęskę w kampanii 1805 roku. Postanowiła ona skorzystać z tego, że na wiosnę i latem 1808 roku Napoleon uwikłał się w konflikt hiszpański, co zmusiło go do ściągnięcia z Niemiec, a potem z terenów Księstwa Warszawskiego znacznych garnizonów wojskowych. Napoleon widział te przygotowania. Mimo to też w marcu 1809 roku zalecił księciu Józefowi Poniatowskiemu zebranie wszystkich oddziałów polskich i saskich znajdujących się w Księstwie i skoncentrowanie ich w Warszawie i jej okolicach. Wylącono z nich jedynie wojska przeznaczone do obrony Pomorza oraz obszaru Kalisza, które pozostawały pod dowództwem generałów Dąbrowskiego i Zajęczka.

Ówczesna polsko-austriacka granica Księstwa Warszawskiego biegła z południowego zachodu na północny wschód wzdłuż rzeki Pilicy, a następnie Wisłą pod samą niemalże Warszawę, którą omijała od wschodu, dążąc ku linii Bugu na północ od stolicy i dalej wzdłuż tej rzeki do granicy rosyjskiej pod Ciechanowcem.

W dwanaście godzin po wypowiedzeniu wojny wojska austriackie przeprowiły się przez Pilicę w okolicy Nowego Miasta oraz Domaniewic mając w planie ominięcie Warszawy i kierując się na zachód ku Bzurze przez Białą.

Wskutek ciężkich warunków klimatycznych armia austriacka posuwała się bardzo powoli, zwłaszcza artyleria i tabory. Arcyksiążę wiedział o szczupłym stanie sił polskich. Gdy więc stwierdził że linia Bzury jest nieobsadzona, a Polacy zajęli pozycje pod Warszawą w okolicy Raszyna i Piaseczna, postanowił tam wydać im bitwę.

Poniatowski znalazł się w trudnym położeniu, zagrożony przez dwukrotnie liczniejszego i lepiej uzbrojonego przeciwnika. W sumie bowiem armia polska liczyła niespełna piętnaście tysięcy żołnierza. Do obrony stolicy garnęło się nie tylko wojsko ale i ludność cywilna, ale umocnienia obronne Warszawy były już bardzo przestarzałe, a szczupłość sił polskich nie pozwalała na atak w otwartym polu. Szybkie zbliżanie się Austriaków do Warszawy uniemożliwiało również bez poważniejszych strat pośpieszne wycofanie wojsk polskich do pobliskich twierdz. W tej przymusowej sytuacji ks. Józef Poniatowski podejmuje decyzję obrony Warszawy, ale nie w obrębie wałów obronnych, lecz w pewnej odległości od nich na linii Błonie-Raszyn-Piaseczno.

PLAN PONIATOWSKIEGO

W liście do marszałka Bernadotte, mianowanego przez Napoleona głównodowodzącym wojsk polskich, książę przedstawia mu następujący plan działań: „...przy nadarzonej sposobności, przed wycofaniem się za jej [Warszawy] umocnienia uderzyć na Austriaków, w razie powodzenia wyzyskać wszystkie korzyści, jakie się nastroczą, w przeciwnym zaś razie trzymać się tam, ile możliwości jak najdłużej, by zyskać na czasie, a jeżeli wreszcie czas, wbrew wszelkim przewidywaniom nie przyniesie nam nic dodatniego, przejść Wisłę, rzucić piechotę do twierdz: Pragi, Serocka i Modlina, z kawalerią zaś zapuścić się do Galicji, lub przynajmniej tak się zabezpieczyć z tej strony, by zachować sobie między tymi twierdzami swobodę ruchów”. Już wcześniej, zaraz po wkroczeniu Austriaków w granice Księstwa, pchnął Poniatowski z Tarczyna w kierunku Nowego Miasta brygadę gen. Roźnieckiego. Jej miejsce zajęła brygada gen. Biegańskiego z Raszyna. W Raszynie koncentruje ks. Józef 2 bataliony 1 pułku piechoty i dwa bataliony 2 pułku piechoty złączone w brygadę pod dowództwem gen. Kamienieckiego, dwa pierwsze bataliony 6 i 8 pułku piechoty, pod dowództwem gen. Sokolnickiego. Bataliony te nocą, z 15 na 16 kwietnia zajmują niezwykle ważne pod względem strategicznym groble falenckie. Niebawem do Raszyna nadchodzi również dwa pułki kawalerii i cała artyleria, co w sumie stanowiło przeważającą część szczupłych sił polskich. Wreszcie ks. Józef zatrzymuje wbrew poleceniom króla Fryderyka Augusta kontyngent saski i osadza pod Raszynem. 15 kwietnia wieczorem Poniatowski wraz ze swym sztabem przybywa do obozu wojskowego pod Raszynem.

Pierwsze utarczki pomiędzy jazdą Roźnieckiego a przednimi pikietami Austriaków nastąpiły 15 kwietnia. Ks. Józef Poniatowski otrzymał również pierwsze wiadomości, z których wynikało, że arcyksiążę Ferdynand nie poszedł głównym traktem warszawskim na którym skupił całą swą uwagę gen. Roźniecki, lecz skręcił na zachód w kierunku Białej. Powstawało przypuszczenie, że Austriak pragnie odciąć siły polskie od pomocy z zachodu, obchodząc Warszawę w kierunku na Skierniewice i Łowicz. Wzmocnił więc Poniatowski swe prawe skrzydło przy pomocy wojsk saskich i poprzez przesunięcie brygady gen. Biegańskiego z Tarczyna do Nadarzyna, zaś brygadę gen. Roźnieckiego do rejonu Tarczyn-Ksawerów. 17 kwietnia gen. Roźniecki wyruszył osobiście na czele 6 i 2 pułku jazdy przez Osuchów w kierunku Białej, a z trzecim pułkiem jazdy w stronę Nowej Wsi. Tego samego dnia wojska austriackie wymaszerowały z Białej w kierunku Tarczyna i Nadarzyna. Potyczka nastąpiła pod wsią Konie, po czym brygada gen. Roźnieckiego wycofała się pod Tarczyn, odsłaniając tym samym południowo-wschodnią część Księstwa. Zwiad kawaleryjski pod dowództwem gen. Sokol-

nickiego przeprowadzony z Falent w kierunku Grójca utwierdził Poniatowskiego w przekonaniu że wojska austriackie idą na Warszawę od strony Tarczyna i lewemu skrzydłu polskiemu nic nie zagraża. Postanowił więc skoncentrować wszystkie swe siły pod Raszynem.

Przyjęcie przez ks. Józefa Poniatowskiego bitwy właśnie na polach Raszyna i Falent nie było bynajmniej przypadkowe. Tu skupiały się dwa trakty wiodące ku Warszawie: krakowski — od Nowego Miasta, Grójca i Tarczyna i wrocławski — od Rawy, Mszczonowa i Nadarzyna. Tak więc wojska austriackie, idące dwoma trasami tu właśnie musiały się spotkać. Ponadto okolice Raszyna, po obu stronach przepływającej tędy rzeczki były tak podmokłe i bagniste, że można je było przebyć tylko poprzez prowadzące z Falent do Raszyna groble i most w samym Raszynie. Dwa inne mosty znajdowały się również w pobliżu — jeden na lewo w Michałowicach, drugi na prawo w Jaworowie.

Wojska polskie zajęły pozycje wzdłuż rzeczki, począwszy od Jaworowa na południowym wschodzie, poprzez Raszyn w centrum do Michałowic na północnym zachodzie. Lewe skrzydło z obroną mostu w Jaworowie stanowiła brygada gen. Kamienieckiego, prawe skrzydło z obroną mostu w Michałowicach brygada gen. Biegańskiego. Centrum zaś stanowiły pozostałe siły, składające się z drugiego pułku piechoty oraz oddziałów saskich (trzy bataliony piechoty, jeden szwadron huzarów oraz 12 dział) pod dowództwem generała saskiego Polentza. Straż przednią głównych sił środkowych stanowiła brygada gen. Sokolnickiego (dwa bataliony piechoty i 9 dział), zajmująca pozycje w Falentach Dużych i Małych po przeciwnej stronie rzeczki. Brygadę tę osłaniały placówki w Nadarzynie (jeden batalion z dwoma działami) i pod karczma Wygody (dwa szwadrony). W ten sposób już w dniu 18 kwietnia ks. Józef miał armię swą całkowicie przygotowaną do przyjęcia ciężkiej bitwy.

ATAK PRZEDNICH STRAŻY

Tego dnia arcyks. Ferdynand dotarł do Tarczyna, gdzie zarządził koncentrację głównych sił. Dążył do rozstrzygnięcia bitwy, chcąc w ten sposób przesądzić losy całej kampanii.

19 kwietnia brygada gen. Roźnieckiego zaatakowana została przez oddział huzarów i wycofała się na pozycje koło karczmy Wygody. Austriacy zajęli pozycje wzdłuż lasu koło Leśnowoli, szykując się do boju. Roźniecki nie podjął walki, wycofując się dalej w kierunku wsi Wolnicy, leżącej na trakcie wiodącym z Nadarzyna do Raszyna. Na skutek podmokłego gruntu huzarzy musieli przerwać pościg za wycofującą się kawalerią polską i zawrócić na swoje pozycje wyjściowe. Wobec tego Roźnieckiego odsłoniło jednakże przez dłuższe kamy pozycje polskie pod Falentami, sta-

A N T O N I

PRZYGOŃSKI



Autor, lat 33, historyk z Warszawy, szczególnie interesuje się okresem okupacji niemieckiej w Polsce.



Książe Józef Poniatowski, głównodowodzący wojskami polskimi w bitwie pod Raszynem.



nowiące straż przednią głównych polskich sił.

Generalny atak austriacki miał iść w trzech kierunkach, ku trzem miejscom przeprawy — w Jaworowie, Raszynie i Michałowicach. Bój zaczął się dopiero około godziny trzeciej po południu artyleryjskim ostrzałem pozycji polskich w Falentach. Pozycje te odpowiadały ogniem swych dziewięciu dział, ale wobec dwudziestudwu dział austriackich było to niewspółmierne. Mimo że główne siły austriackie jeszcze nie nadeszły, Ferdynand z obawy przed wycofaniem się nieprzyjaciela zdecydował atak przy pomocy swych przednich sił. Podjął go w dwóch kierunkach: na Falenty czarnaście

kompanii piechoty i drogą boczną na Jaworów cztery szwadrony huzarów palatyńskich.

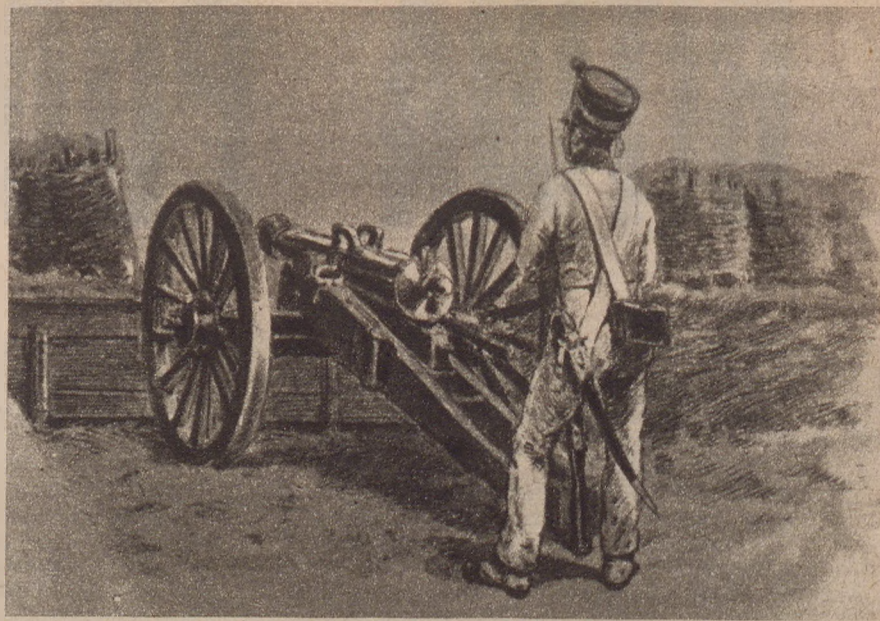
Najpierw rozgorzał bój na prawym skrzydle austriackim pod Jaworowem, gdzie atakujący huzarzy zostali powstrzymani i rozgromieni ogniem sześciu dział polskich, dobrze ustawionych za rzeką. Wielu z nich wpadło na okoliczne moczary — zaczęło tonąć w bagnie. Wówczas arcyks. Ferdynand ponowił atak pułkiem kirasjerów, który poprowadzono do natarcia nie wprost lecz bokiem, licząc na obejście polskich pozycji od tyłu. Ale i tu dostępu broniły bagna, w których kirasjerzy austriaccy zaczęli tonąć. W dodatku poczęła ich ostrzeliwać artyleria polska, co zapowiadało nieuchronny pogrom. Z opresji wybawił ich dopiero obstrzał pozycji polskich przez austriacką baterię konną, umożliwiającą wycofanie się kirasjerów. Jeszcze raz ponowiono natarcie na Jaworów pułkiem piechoty z brygady gen. De Ligne, ale i ten atak został przez artylerię polską odparty.

KONTRATAK PONIATOWSKIEGO

Po tych niepowodzeniach arcyks. Ferdynand zaniechał dalszych ataków na Jaworów i główną uwagę skupił na toczących się walkach w centrum, we wsi Falenty. Wieś ta składała się z dwóch części. Bardziej wysunięte ku południowi były Falenty Duże, osłonięte olszyną i stawami. Falenty małe zaś z dworem przylegały do grobli, przy której zbiegały się oba trakty i biegły w kierunku Raszyna. Każdej z tych części bronił jeden batalion piechoty z brygady gen. Sokolnickiego, obu zaś razem dodatkowo broniło dziewięć dział, ustawionych tu przez francuskiego generała Pelletiera. Pozycje falenckie zaatakował pułk austriackiej piechoty nie wprost, drogą wiodącą ku Falentom Małym, lecz bardziej na lewo na lasek olchowy, którego bronił pierwszy batalion ósmego pułku piechoty polskiej pod dowództwem płk. Cypriana

Płk Cyprian Godebski, dowódca VIII pułku piechoty, poległ w bitwie pod Raszynem.

Książe Józef Poniatowski prowadzi do ataku I batalion VIII pułku piechoty na grobli Falenckiej. Fotokopia obrazu Wojciecha Kossaka.



BÓJ O RASZYN

Gdzieś około godziny siódmej uszło na tę wieś z dwu stron austriackie natarcie. — Jedno wzdłuż grobli falenckiej, w ślad za oddziałami polskimi, wprost na stojący u granic wsi młyn i drugie — od strony traktu wrocławskiego, groblą od wsi Puchały na kościół. Zarówno w jednym, jak i w drugim miejscu trwały zażarte boje. Wychodzące z grobli falenckiej oddziały austriackie walczyły o mocno ufortyfikowany i broniony przez wojska polskie i saskie młyn, który po zaciętych walkach został jednak zdobyty. Od strony zaś grobli puchalskiej walka toczyła się o również ufortyfikowany kościół, do którego Austriacy zbliżyli się, lecz zostali ostatecznie odrzuceni skoncentrowanym ogniem polskiej i saskiej artylerii. Tu otrzymał śmiertelną ranę płk. Godebski.

Bitwa raszyńska zakończyła się późnym wieczorem wycofaniem się Austriaków z Raszyna na groble —



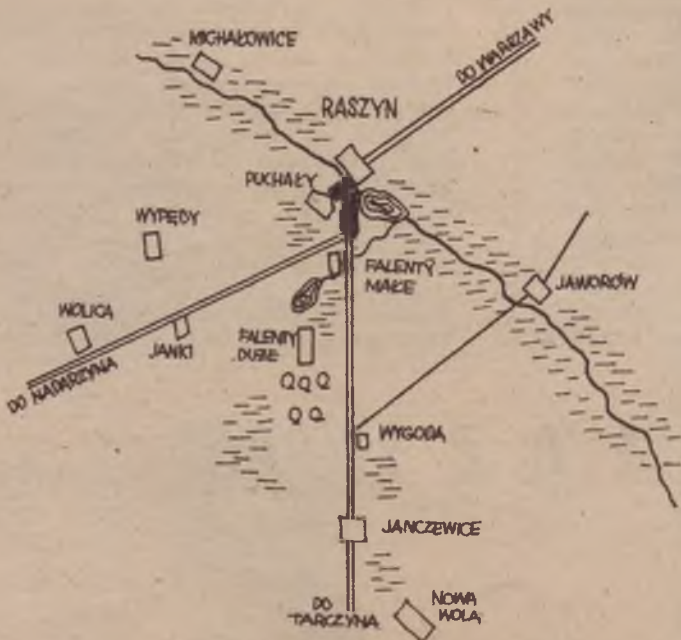
ochłonie i umocni się na odbitych pozycjach, poszli znów do ataku na lasek. Uparty bój trwał ponad godzinę, lecz Polacy nie oddali pozycji. Co więcej, odbili jedno ze swych utraconych dział i niebezpiecznie zbliżyli się do lewego skrzydła wojsk austriackich. W tej fazie bitwy zaczęła się już zarysowywać pewna przewaga Polaków, która mogłaby przeważać szalę zwycięstwa. Jednakże w tym właśnie czasie nadeszły świeże i główne siły wojsk austriackich.

Zacząła się więc trzecia faza bitwy raszyńskiej. O godzinie szóstej wieczorem Ferdynand rzucił do ataku na Falenty nowe oddziały. Zacząły one spychać Polaków w kierunku Raszyna. Nieprzyjaciel siedł teraz ze wszystkich stron forsując bagna w bród. Przebywszy groble, Austriacy zagarnęli stojące tam działa i przystąpili do zdobywania samego Raszyna.

falencką i puchalską. Przyczynił się do tego wściekły ogień artylerii polskiej i saskiej, który wydatnie pomógł skrwawionym już batalionom wyprzeć nieprzyjaciela. Austriacy zatrzymali więc w swych rękach groble prowadzące do Raszyna, Polacy zaś sam Raszyn. Walczących rozdzieliła noc.

ODWRÓT DO WARSZAWY

Nieprzyjaciel nie zdobył co prawda zasadniczej linii obrony wojsk polskich, ale też nie odszedł daleko, przywarł nie opodal skrwawiony mocno, lecz mimo to wciąż jeszcze liczniejszy i silniejszy. obrońcy zostali na placu boju, ale wiedzieli już, że nim świt nastanie będą musieli opuścić pozycje, których tak krwawo bronili.



Dla ks. Józefa Poniatowskiego nie ulegało wątpliwości, że swój cel osiągnął. Nieprzyjaciel został zatrzymany w swym pochodzie na stolicę, a pierwsza walka, mimo jego dwukrotnej przewagi pozostała nierozstrzygnięta. Należało teraz wycofać się poza umocnienia Warszawy i broń jej ile się da i jak długo się da.

Arcyks. Ferdynand nie był i nie mógł być ze stoczony bitwy zadowolony, mimo zarysowanej wyraźnie przewagi w ostatniej fazie boju. Cel bowiem główny — rozgromienie i zniszczenie armii polskiej — nie został osiągnięty. Warszawa nie została zdobyta, nie mówiąc już o czterech pobliskich polskich twierdzych. Bitwa raszyńska nie zakończyła wojny, lecz ją dopiero zaczęła. Nie mając ochoty

na długotrwałe oblężenie Warszawy Ferdynand szukał ostatecznego rozwiązania w rokowaniach.

Rokowania te przyniosły w rezultacie chwilowo obopólne korzyści. Polacy, widząc słabość obwarowań stolicy postanowili oddać lewobrzeżną Warszawę Austriakom, za cenę jednak pełnej i honorowej ewakuacji znajdujących się w niej wojsk polskich na prawy brzeg Wisły, gdzie zatrzymano w swych rękach umocnienia obronne Pragi. Dawało to możliwość prowadzenia dalszej walki w pomyślniejszych i swobodniejszych warunkach. W tym sensie bitwa raszyńska, pierwsze spotkanie w rozpoczynającej się kampanii, stała się trwałym elementem ostatecznego zwycięstwa Polaków w tej wojnie.



DZISIAJ



Grobla Falencka — tu toczył się zwyciężył bój o wejście do Raszyna.



Resztki młyna raszyńskiego, o który walczyli 150 lat temu. Fot. autora.



Pałac w Falentach zbudowany w miejscu spalonym podczas bitwy.

PO RAZ DRUGI ZAPORA POD KAZIMIERZEM

W numerze 7 miesięcznika „Ziemia” ukazał się artykuł inż. A. Łaskiego pt. „Problem zapory w Kazimierzu”. Dla przypomnienia czytelnikom powtórzę za autorem wspomnianego artykułu, że projekt zapory przewiduje przy wysokości spiętrzenia wody do 25 m stworzenie zbiornika o pow. 415 km² i pojemności 6 miliardów m³. Zalew sięgałby aż pod Zawichost, a przy zastosowaniu stopni odcinających aż po Sandomierz na Wiśle i Radomyśl na Sanie, osiągając łącznie ze zbiornikiem na Kamiennej pow. 465 km². Długość zbiornika wodnego do Zawichostu wyniesie 70 km, a do Sandomierza prawie 100 km. Zakład wodno-elektryczny, projektowany poniżej Kazimierza ma mieć moc instalowaną 300 000 Kw i przy rocznej produkcji da około 0,5 miliarda Kwh. Koszty budowy łącznie z wywłaszczeniami wyniosłyby około 4 miliardów złotych. Aby należycie ocenić powyższy projekt postaram się w kilku słowach scharakteryzować go przez wykazanie stron dodatnich i ujemnych.

STRONY UJEMNE:

1) Zalanie 330 km² czyli 33 000 hektarów bardzo żyznych użytków rolnych, szczególnie na terenie powiatu Opole Lubelskie, powodujące stałą roczną stratę wynoszącą w przeliczeniu na zboże, (licząc według rocznika statystycznego 1956 po 14 q na 1 hektar) circa 46 000 ton zboża, co w dzisiejszych naszych warunkach gospodarczych stanowiłoby dalsze możliwości zwiększenia deficytu zbożowego, z którym tak intensywnie walczyliśmy.

2) Wysiedlenie 50 000 obywateli z obszarów podlegających stałemu i okresowemu zalaniu byłoby w naszych warunkach aktem nieludzkim i tym bardziej bolesnym, że niepotrzebnym. Wszyscy wiemy, ile w ciągu ubiegłych 18 lat spotkało nas przykrości, ile wysiedleń przeżyli Polacy z Poznańskiego, Pomorza, Śląska i Lubelszczyzny. Toteż ten negatywny efekt wspomnianego projektu uważam za najbardziej dyskwalifikujący go.

3) Warunki klimatyczne zmieniłyby się o minimalny wzrost nawilgocenia powietrza, oraz o pewien wzrost wilgotności gleby najbliższego sąsiedztwa zalewu i podniesienie wód gruntowych. Powstałoby wprawdzie wspaniałe jezioro, na którym prócz gospodarki rybnej mogłyby się znajdować liczne ośrodki sportów wodnych i liczne kąpieliska, ale przyjemności z wody płynące byłyby w poważnym stopniu zakłócone okropnymi wyziewami, wydzielającymi się z okresowo ukazujących się błot, których powierzchnia mogłaby dochodzić do 70 km² czyli 7 000 hektarów. Trzeba przyjąć, że w miesiącach letnich miałyby miejsce opróżnianie zbiornika po wezbraniach

świętojańskich i właśnie w lipcu, a może i w sierpniu błoto zatrzymałoby swymi wyciewami najbliższą okolicę. Ponadto takie błota utrudniają dostęp do zwierciadła wody i korzystanie z niego, oraz ograniczają możliwości zabudowy lotniskowej terenów nadbrzeżnych.

4) Zalew blisko 100 km długi a 3

do 12 km szeroki i do kilkunastu przeciętnie metrów głęboki, ustawiony południkowo w centralnym miejscu Polski, stałby się poważną przeszkodą dla rozbudowy komunikacji w tej części Polski, a w szczególności dwóch nadwiślańskich województw, kieleckiego i lubelskiego. W przyszłości zarysowują się tu olbrzymie perspektywy

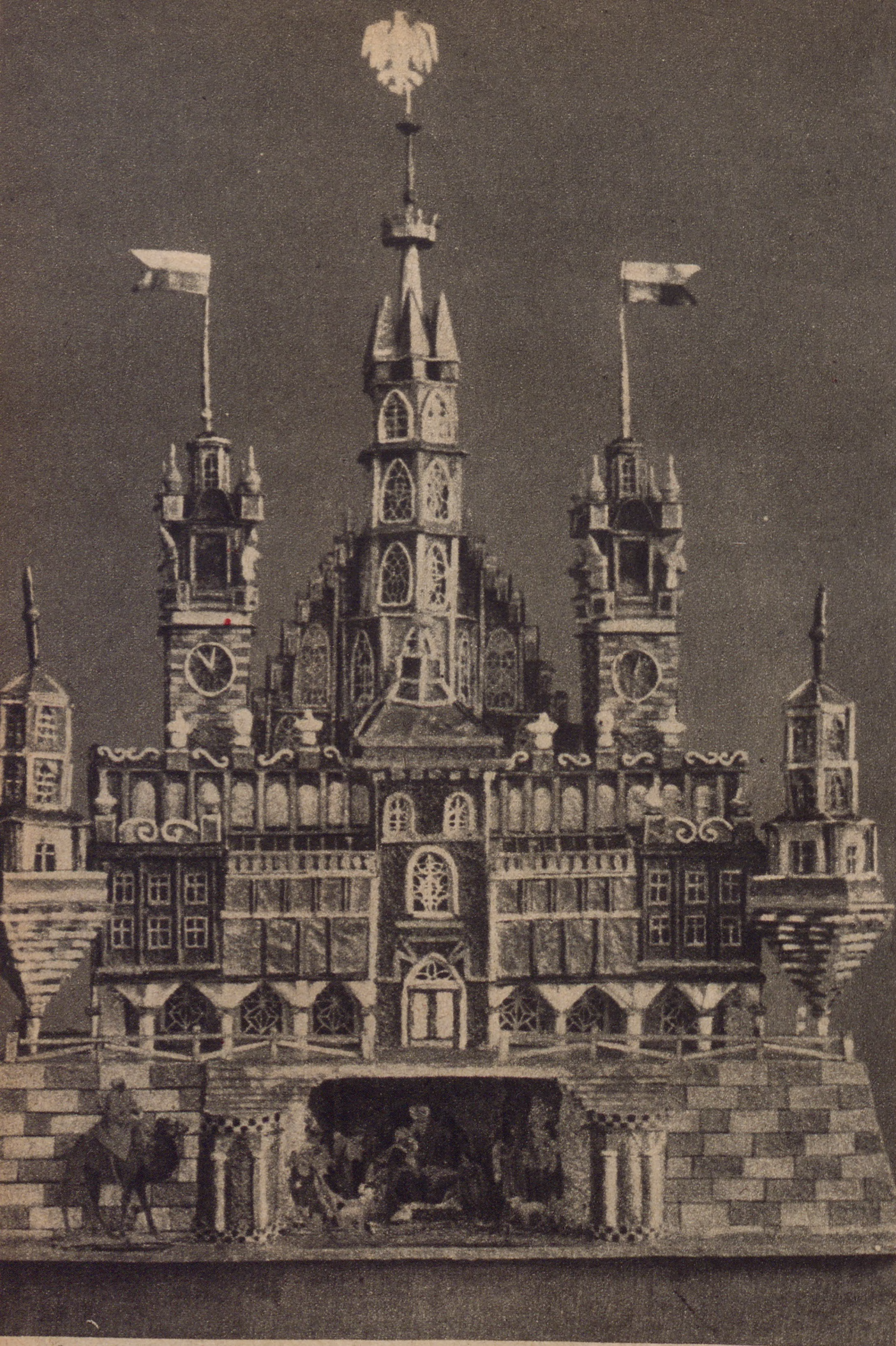
Dokończenie na str. 12

STRONY DODATNIE:

- 1) Pół miliarda Kwh rocznej produkcji energii elektrycznej.
- 2) Umożliwienie żeglugi dla 1000-tonowych barek na trasie zalewu, a więc na odcinku 100 km między Kazimierzem a Sandomierzem.
- 3) Wyrównanie przepływów na dolnej Wiśle, dające pewną poprawę żeglugi oraz zwiększające możliwości wykorzystania energii wodnej przez siłownie, które w przyszłości będą tam budowane.

RYNEK W KAZIMIERZU NAD WISŁĄ. FOT. WIESŁAW TOMASZKIEWICZ





Tną tekturki i drewnienka, owijają je błyszczącym, szeleszczącym staniolem, kolorowym papierem. Łączą w ścianki, wieżyczki, elementy zamierzonej konstrukcji. Coś jakby zwielokrotnione, olbrzymie zabawki choinkowe. Coś z chłopięcej zapamiętałości modelarskiej. Jednym wystarczy pięć tygodni, inni potrzebują pół roku. Są tacy, którzy do następnego konkursu zaczynają się przygotowywać niemal zaraz po zamknięciu poprzedniego. Popołudnia i wieczory poświęcają na żmudną dźbaninę, na pracę drobniutką, cierpliwą i dokładną.

Pieniężna wartość kilkusetzłotej nagrody nie stoi w żadnym stosunku do włożonej pracy i straconego czasu. Nie o zysk więc chodzi. Są wytrwali, którzy dziesięć razy, rok po roku, odchodzą zawiedzeni. Dlaczego z nieślabnącym zapałem przygotowują się do następnego konkursu? Trzeba zobaczyć wyraz twarzy „laureatów“.

Do konkursu może stanąć każdy. Przynoszą swoje szopki ekspedientzi z MHD, dekoratorzy ze Spółdzielni Spożywców, urzędnicy i studenci, ekonomiści i nawet etnografowie. Jak to bywa często na konkursach, których celem jest podtrzymanie jakiejś upadającej gałęzi sztuki ludowej, lub wskrzeszenie zamarłej — sporo dziwolągów, produkowanych przez prostaczków „ku ucieśce panów“, sporo inteligentnych stylizowań, fikcyjnej ludowości. Nagrody przypadają jednak nie potwornym zamkom, nie modelom MDM-ów, lecz kontynuatorom tradycji słynnej „krakowskiej szopki“.

Na liście nagrodzonych każdego konkursu jest znaczny odsetek murarzy. Murarzem jest Franciszek Tarnowski, który już chyba dziesięć razy zdobywał pierwszą nagrodę, a do konkursu staje co roku — od 1936. To nie przypadek, a logiczna konsekwencja faktu, że szopka krakowska jest wogóle dziełem właśnie krakowskich murarzy.

Sezon budowlany do niedawna zaczynał się z wiosną a kończył na jesieni. Murarze chwytały się różnych zajęć, które mogłyby dać zarobek na przetrwanie zimy. Robili słomianki, zabawki, i — właśnie szopki. Jeszcze za czasów austriackich (jak opowiada Tarnowski) w czasie świąt Bożego Narodzenia, na Rynku, na linii A-B, co wieczór stało kilka szopek „bardzo bogatych, z kukielkami, wielkie na dwa metry“. Te szopki

FOT. MICHAŁ MAŚLIŃSKI I ZBIGNIEW GUCWA

PRZEMYSŁAW
BURCHARD

PARADA BARWY I BLASKU



teatr marionetkowy — jest w Polsce znacznie młodszy. Po raz pierwszy pojawił się on na ulicach Warszawy w roku 1701. Był to teatrzyk świecki wprowadzony u nas na wzór francuski. Ze stolicy rozpowszechnił się po większych miastach.

W Krakowie dokonało się to co Estreicher tak określa: „sceny odgrywane przez żaków i klechów spróbowano przenieść na małe deski, które niemniej, jak i prawdziwe deski sceniczne — świat oznaczają“. Poważną rolę odegrał tu biskupi zakaz urządzania widowisk wewnątrz kościołów.

Po prawej: wiejski zespół wędrownych szopkarzy przed I wojną światową, Gólkowice, pow. Kraków. Fot. archiwalna.

Szopka Ezenekierów w Krakowskim Muzeum Etnograficznym.

Po lewej u dołu: murarz Franciszek Tarnowski, który dziesięciokrotnie zdobywał I nagrodę w konkursie szopek krakowskich. Poniżej: Franciszek Kozłowski, również murarz przygotowuje się do konkursu szopek

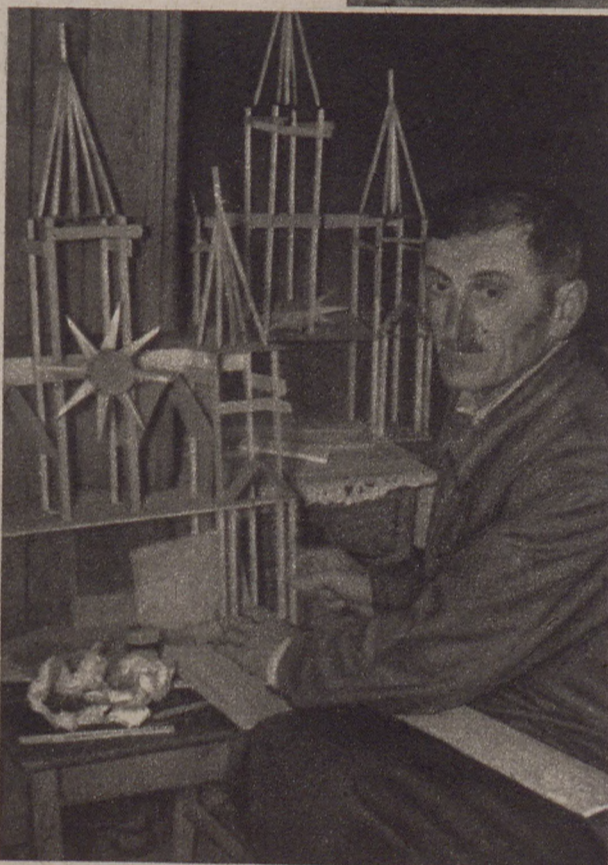


tycznie ani nawet porównywać pod względem wartości formalnych. Niemcy nie znali szopek wogóle.

przeznaczone były już wówczas „dla państwa“, choć konkursy zaczęły się dopiero w latach trzydziestych. Ludowość była już w modzie, a specjalnie szopki spopularyzował Stanisław Estreicher, autorytet w Krakowie niemałej miary. Już w latach dziewięćdziesiątych „odkryto“ Michała (ojca) i Leona (syna) murarzy Ezenekierów, a ich wspaniała szopka do dziś zdobi sale Muzeum Etnograficznego. Tenże Estreicher, który zapewnił Ezenekierom trwałą sławę, wspomina jednak, że w tym czasie „inne szopki“ podobne były do ezenekierowskiej. A więc nie ekstrem niebywały, lecz przykład jeden z wielu, typowy.

W momencie odkrycia te wspaniałe szopki służyły jeszcze swemu zasadniczemu celowi. Był to przenośny teatrzyk marionetkowy, w którym w czasie świąt dawano dla zarobku przedstawienia jasełkowe, jak co roku, odkąd sięgała pamięć najstarszych ludzi.

Łatwo zrozumieć dlaczego właśnie murarze tak chętnie „chodzili z szopką“. Nie mieli w ziemi nic innego do roboty. Ale skąd ta ozdobność szopki? Nikt za to przecież nie dopłacał. Niewątpliwie było tu coś ze „sztuki dla sztuki“. Wiele w tych szopkach szczegółów, które wskazują na doskonałą znajomość krakowskich zabytków. Fragmenty barokowe, gotyckie pomieszane razem.



szopka krakowska, wyk. Stefan Mitka, murarz, w r. 1956. II nagroda Muzeum Historycznego m. Krakowa na XIV konkursie.

Szopka w swej części literackiej uległa szybkiemu zeświecczeniu, stając się ludowym teatrzykiem. Rozrastała się treść nie związana z wydarzeniami biblijnymi. Kolędy, klechdy, pieśni ludowe i ludowy humor — oto pierwotne składniki widowisk. Wiek dziewiętnasty wzbogacił szopkę o czynnik patriotyczny, o smutne wspomnienia żołnierskie wojen napoleońskich, a potem powstań. Stała aktualizacja, wprowadzanie postaci lokalnych i dowcip polityczny — zapewniały szopce niesłabnące powodzenie. Zresztą trzeba pamiętać, jak wybitną rozrywką musiała być szopka dla ludu miejskiego w czasie, gdy nie było ani radia ani kina.

Początkowo (jeszcze w wieku XVIII) odgrywano marionetkowe jasełka na tle płaskich, malowanych kulis. A więc nie były to jeszcze szopki w sensie architektonicznym. Takie pojawiają się dopiero w początku wieku XIX. W roku 1837 miały one jeszcze formę nieskomplikowaną, dach słomiany, a figury poruszały się przed szopką. W roku 1862 zapisano, że akcja została przeniesiona do wnętrza szopki, a konstrukcja samego budyneczku była już bardziej misterna, rozmiary większe.

Wszystko to działo się w Krakowie. Stąd ekspandowały na kraj coraz to nowe formy tego ludowego teatrzyku. Nic dziwnego więc, że wszędzie, nawet w Warszawie szopkę bożena-

rodzeniową nazywano „krakowską“. Pod koniec wieku XIX szopka otrzymała z rąk krowoderskich murarzy tę postać, która jej zapewniła sławę i trwałą pozycję w historii polskiej sztuki ludowej.

Warto podkreślić, że jest to zjawisko wyjątkowe także i w skali światowej. W Europie poza Polską jedynie we Francji i we Włoszech nosi się po wsiach w okolicach świąt Bożego Narodzenia coś w rodzaju szopki lecz są to jedynie prymitywne skrzyżeczki. Nikomu na myśl nie przyjdzie wiązać z nimi szopkę krakowską gene-

Niebawem rozstrzygnie się trzynasty powojenny konkurs szopek, ciekawa i piękna impreza, którą nazwałem w tytule „paradą barwy i blasku“. Pamiętajmy jednak, że szopki krakowskie to zjawisko od czasów Ezenekiera rozwijające się w dwu równoległych nurtach. Pierwszy — to właśnie te wspaniałe szopki dla muzeów, na konkursy, dla zagranicy. Drugi — szopki użytkowe, skromniejsze, z którymi jak przed stu laty chłopcy chodzą od domu do domu, kołędując i czasem dając przedstawienia. Uwaga teoretyków sztuki skierowana jest jednak wyłącznie na konkursową, reprezentacyjną wspaniałość. Kto zajmie się tym skromniejszym, ale żywym i wciąż ewoluującym nurtem? Czyha ta praca spadnie na amatorów. Warto, naprawdę warto się nią zająć. Czy np. oprócz tradycyjnych postaci: Twardowskiego, diabła, krakowiaków, górali, żydów, ulanów — pojawiły się nowe, aktualniejsze? Czy teksty wzbogaciły się o nowe produkty ludowego humoru? Jak dziś wyglądają marionetki, o których pisał Estreicher że „wyrobione bywają porządnie i sprytnie“? Każdy zapis, każda notatka, zdjęcie czy rysunek może mieć później wartość cennego dokumentu Ostatni raz opisywano szopkę — w roku 1904.

Dni krakowskiej szopki, tej z przedmieść i podwórek są policzone. Ta z muzeum pożyje jeszcze bardzo długo.



raz pierwszy wielki skalny próg zamknięty drogę w głąb jaskini i dotarł do salki nazwanej Gniazdem Złotej Kaczki. W roku 1921 znany taternik M. Świercz przeszedł jeszcze dalej, aż do sali którą nazwał Rycerską. W latach 1924—1925 bracia Tadeusz i Stefan Zwolińscy wraz z T. Malickim, K. Steckim i Olbrychtowiczem przebyli wszystkie znane dotąd części grotty i odkryli niektóre nowe. Sporządzili oni też plan jaskini i opublikowali jej opis. Jaskinia Kasprowa Niżnia została uznana za największą jaskinię Polski, liczyła bowiem wówczas około 900 m poznanych chodników. Uważano też, że nie ma w niej nic więcej do odkrycia.

DALSZE POSZUKIWANIA

Dopiero w r. 1951 grupa młodych turystów z Zakopanego korzystając z niskiego stanu wody przebyła mały korytarzyk na końcu znanego ciągu jaskini i odkryła za nim kilkadziesiąt metrów ciasnego chodnika. Okazało się, że jaskinia nie jest tak całkowicie zbadana jak sądzono dotychczas.

Tak stały sprawy, kiedy w grudniu 1952 roku wybrałem się z trójkiem towarzyszy na zwiedzanie jaskini. Poprzednio już przebyliśmy większość ze znanych jej korytarzy, a i tym razem nie myśleliśmy o odkryciach. Trzy lampy karbidowe na cztery osoby, parę zapasowych świeczek, lina i łódka, pneumatyczna tworzyły cały nasz ekwipunek.

Za niewielką komorą wejściową korytarz nagle się obniża. Na czworakach przejść trzeba dalej, do obszerniejszego już chodnika. Latem stoi tu woda zatrzymująca zwiedzających; dotąd dotarł pierwszy znany badacz jaskini, Gotfryd Ossowski. Teraz było sucho i bez trudu przeszliśmy próg skalny udostępniony drabiną od czasu wyprawy zakopiańskiej sprzed roku. Za progiem ciągnie się wygodny korytarz aż popod ogromny komin w górę: to Wielki Próg. Zatrzymał on dawnych badaczy, nawet Jan Gwalbert Pawlikowski nie zdołał go przebyć. Więcej zaważyła tu chyba ciemność i groza podziemia niż trudności techniczne, bo przejście progu, choć nie całkiem łatwe, nie jest przecież problemem dla oswojonego ze wspinaczką taternika. Górne piętro ponad progiem zaczyna się Komorą Stalaktytową. Parę nacieków rozmytych przez wodę nie bardzo usprawiedliwia tę nazwę nadaną przez jej odkrywcę, Mariusza Zaruskiego. Wkrótce dalej zaczynają się nie wysychające nigdy jeziora. Jedne z nich przeskakiwałyśmy inne obchodziliśmy i tak dotarliśmy na brzeg głębokiej studni. Przebyliśmy ją sposobem taternickim, zjazdem na linie i za chwilę znaleźliśmy się w Gnieździe Złotej Kaczki. Jest to mała komórka przypominająca barokową kapliczkę, o dnie zaścienionym piaskiem. Do tego punktu doszedł Mariusz Zaruski i nawiązując do starej góralskiej legendy nadał mu ową poetyczną nazwę.

Przejście do dalszych części grotty stanowi małeńki, ciasny przelaz pomiędzy stropem a piaszczystym dnem. Trzeba było tu położyć się na brzuchu i pracownicie grzebiąc rękami w sytkim podłożu przeciskać się na drugą stronę. Dalej znów jest szeroko. Jeszcze kilka progów i dotarliśmy do Sali Rycerskiej.

Ponad rozległym dnem tej komory, zasłanym czarnymi, groźnymi blokami znajduje się osobliwy balkon skalny. W jego wcięciu leży małe, lecz głębokie, wspaniale przejrzyste jezioro. Jest już tradycją, by nad jego brzegiem zatrzymywać się i posilać.

NA GUMOWEJ ŁÓDCE

Dwoje naszych towarzyszy zawróciło. Kazimierz Grotowski (zwany w grupie krakowskich grotolazów „Grotentem”) i ja chcieliśmy jeszcze zwiedzić korytarze położone za Salą Rycerską. Ustaliliśmy, że za parę godzin spotkamy się w schronisku, na Goryczkowej, dziś już nie istniejącym, zniszczonym później przez wielką lawinę.



fol. Ryszard Gradziński

Droga w głąb jaskini wiodła przez jezioro. Zajmowało ono całą szerokość korytarza, a w miejscu obniżenia pułapu zostawiło tylko ciasny otwór. Wyjeliśmy z chlebaka nadymaną łódkę „dinghy” i po krótkiej chwili na powierzchni wody unosił się już małeńki, zgrabny pontonik. Trzeba było położyć się na nim na płask i trzymając w jednej ręce lampę karbidową drugą wiosłować lub odpychać się od ścian. Zaraz za zwężeniem korytarz rozszerza się. Lampa oświetlała skrzęsane ściany i groźne głązy Komory Złomisk. Dno jej w dużej części zajmowało jezioro. Ma ono piaszczyste, powyginane, miękkie brzegi. Wygodnie się tu ładuje.

Ruszyliśmy dalej. Po kilku korytarzach i progach doszliśmy wreszcie do miejsca skąd przed laty zawrócił Zwoliński, odkrywcy tej części jaskini. Jeszcze dalej dotarła tylko przed rokiem grupa grotolazów zakopiańskich a po nich grupa krakowska w zeszlórocznej wycieczce. Droga była tu trudniejsza, trzeba było iść zapieraniem w wąskim korytarzyku, a następnie spuścić się po linie na dno studni. Stąd odkrywcy poszli w lewo ciasnym, błotnistym chodnikiem, który zakończył się ślepo. Znaliśmy już ten chodnik z poprzedniej wycieczki, więc skierowaliśmy się w prawo, w korytarz o dnie pokrytym mazią, rozmięktą gliną. W błotnistym namulisku widać było wyraźnie ślady butów — ktoś więc tu już był. Po kilkunastu metrach dno chodnika opada i ginie w jezioro. Na brzegu ślady odcisnięte były wyraźniej: widać zwiedzającego, zatrzymał się chwilę, a potem uznał, że przejścia nie ma, bo ślady zawały.

OTWARTY KORYTARZ

Teraz jednak woda nie sięgała po strop. Ponad nią zostawało jeszcze sporo wolnego miejsca. Co więcej, odczuwało się lekki przewiew, nieomylny znak, że korytarz ciągnie się jeszcze daleko! Niestety, było tu o wiele za ciasno nawet dla naszej małeńkiej łódki. Co robić? Ogarnęło nas szczerne podniecenie, które odczuwa się

zawsze u progu nieznanego. Zdecydowaliśmy się mimo wszystko iść naprzód. Zdjęliśmy ubrania. Lodowata woda sięgała do piersi, trzeba było jeszcze zginać się pod niskim stropem, ale dalej zaraz dno podnosiło się i jaskinia rozszerzała. Po paru jeszcze metrach byliśmy na drugim, nieznanym brzegu. Ubraliśmy się szybko i ruszyliśmy dalej. Nietknięte, gliniaste dno chodnika było najlepszym dowodem, że jesteśmy tu pierwsi. Teraz każdy zalam chodnika przynosił niespodzianki: mijaliśmy oglądzone kominy z zawieszonymi na ich progach małeńkimi jeziorkami, niewielkie wprowadzie, ale coraz częstsze stalaktyty, małe komórki i ciasne przelazy.

Po paruset metrach szybko, biegiem niemal przebytej drogi znaleźliśmy się na brzegu studni. Była to pierwsza poważna przeszkoda w nowym ciągu. Choć jedna z naszych lamp widocznie już przygasła, ciekawość przemogła. Grot pozostał na górze, ja zaś z jedy-ną naszą lampą zacząłem schodzić. Studnia miała gładkie ściany, była jednak wąska, tak że zapieranie się nie sprawiło trudności. Po ośmiu metrach dotarłem do dna, skąd ciągnął się dalej poziomy, ostrołukowo sklepiony korytarz. Po kilkunastu metrach wyprowadził on na balkon nad sporą salką. Była to najpiękniejsza komora w nowoodkrytej części jaskini (nazwa-liśmy ją później Gwiazdzistą Komorą).

Ostatnia nasza lampa wyraźnie gasła, poza nią mieliśmy tylko dwie krótkie świeczki, trzeba więc było zawracać. Zaczęłem się wspiąć. Mimo gładkich ścian i lampy w ręku posuwałem się dość szybko w górę i po chwili byłem już przy samej krawędzi. Teraz jeszcze trzeba było schwytać za sterzący z dna stalagmit i wciągnąć się na brzeg studni. Wtem stalagmit oderwał się i nim zdałem sobie sprawę co się dzieje — runąłem w dół.

DALSZY CIĄG ZA MIESIĄC

Pod granitowymi masywami Kościelca, Niebieskiej Turni i Świnicy, wśród rozległych pól kosodrzewiny i bloków skalnych leżą Stawy Gąsienicowe. Choć wszystkie mają jednakowo przejrzystą wodę i jednakowo martwe, blokami zasłane dno, to jednak każdy z nich jest odmienny, każdy ma własne indywidualne piętno. Od barwy i kształtu nadano im nazwy lokalne: Dwoisty, Trojski, Długi, Zielony, Czerwony. Jeden spośród mniejszych stawów nosi nazwę „Suczy”. Pochodzenie tej nazwy tłumaczy górale tym, że kiedyś miała w stawku utonąć suka. Nie byłoby w tym nic osobliwego, gdyby nie to, że po jakimś czasie zwłoki zwierzęcia znalazły w wylocie jaskini położonej po drugiej stronie grzbietu gór, w pobliżu Polany Kasprowej Niżniej.

ZAGADKA PODZIEMNYCH WÓD

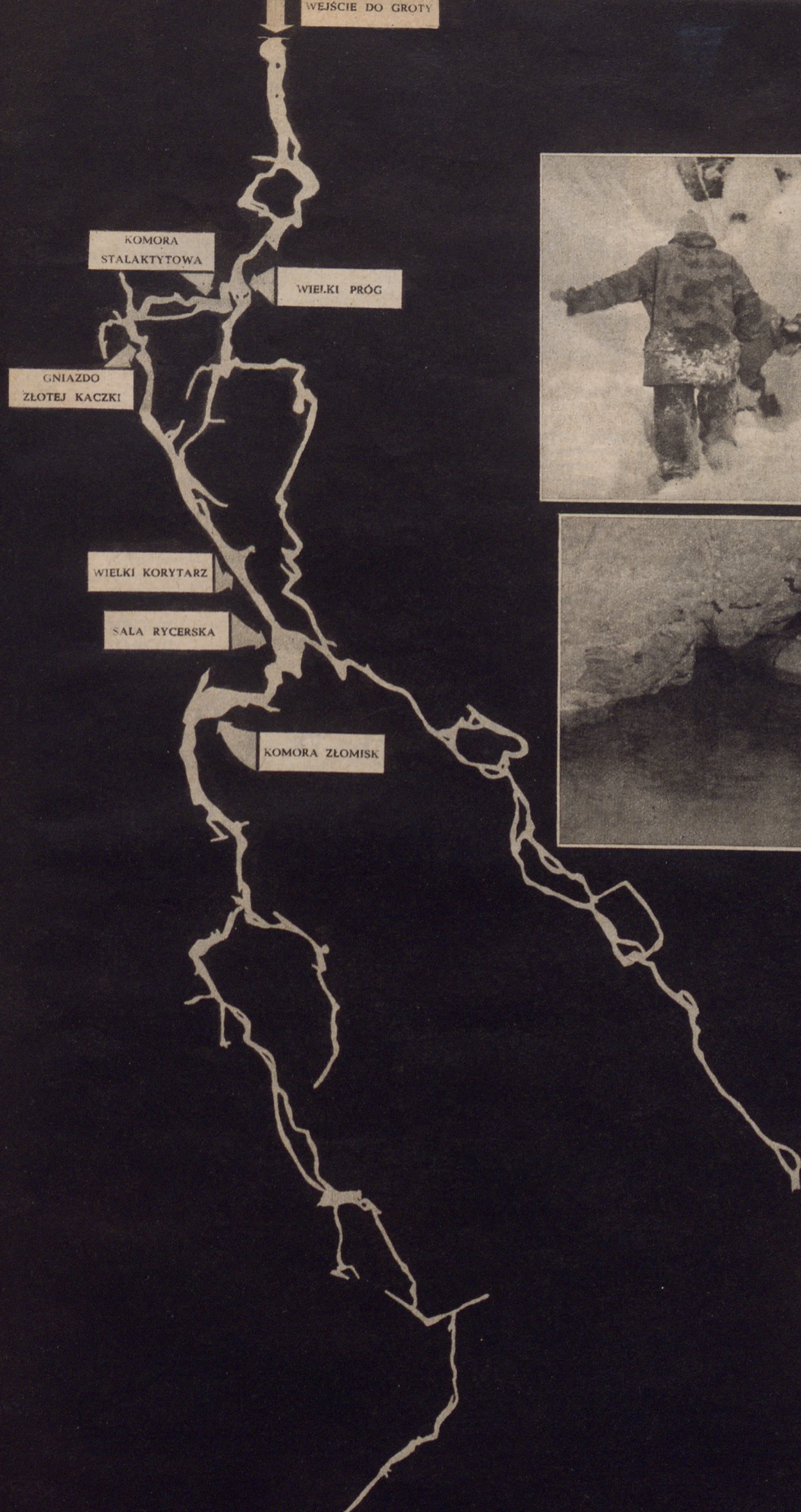
To opowiadanie, do dziś żywe wśród juhasów tatrzańskich znalazł i opublikował przed przeszło stu laty (1849) jeden z pionierów badań naukowych w Tatrach, geolog Ludwik Zejszner. Oczywiście historia ta, odnoszona zresztą i do innych miejsc w Tatrach, np. do wypytu spod Pisanej w Dolinie Kościeliskiej, to tylko legenda. Ale faktem jest, że z odpływem ze Stawów Gąsienicowych dzieją się dziwne rzeczy. Duży strumień płynie z szumem dnem doliny by nagle, dostawszy się na teren wapienny, zniknąć w skalnym, na dnie jego koryta położonym leju. Dalszy ciąg doliny jest już suchy. Również i jaskinia Kasprowa Niżnia wykazuje osobliwe zjawiska. W czasie roztopów czy po dużych deszczach z otworu jej wylewa się wielki strumień. Po kilku dniach wody opadają i wówczas osuszony wylot otwiera podziemną drogę wiodącą daleko w głąb skal.

Choć bacowie i juhasi z okolicznych hal z pewnością od niepamiętnych czasów znali łatwo dostępny otwór jaskini, to na pewno nie zapuszczali się daleko w głąb; z kagankiem lub lucywnem nie była to zresztą rzecz bezpieczna. Ci, którzy weszli do jaskini opowiadali o potężnych jeziorach podziemnych. Miała na nich pływać złota kaczka znosząca raz do roku złote jajo.

PIERWSZE BADANIA

Bliska Zakopanego a tajemnicza grotta od dawna pociągała także badaczy i turystów. Dzieje jej poznania to w skrócie cała niemal historia speleologii tatrzańskiej. W roku 1881 zwiedził wstępną część jaskini archeolog Gotfryd Ossowski. Dalsze przejście znalazł on wówczas zalane wodą. W opisie wycieczki zanotował także legendę o złotej kaczce. W parę lat później zapuścił się do jaskini Jan Gwalbert Pawlikowski, zdobywca Mnicha. We wnętrzu znalazł on stare ostreki świadczące o dawnych odwiedzinach jaskini, dokonywanych zapewne przez poszukiwaczy skarbów. Opis wstępnych części grotty dał również Janusz Chmielowski, twórca nowoczesnego taternictwa.

Nową epokę w badaniach jaskini otwierają wycieczki Mariusza Zaruskiego, twórcy Pogotowia Tatrzańskiego. Współ z innymi wybitnymi taternikami, T. Kornitowiczem i J. Openheimem pokonał on w r. 1913 po



JASKINIA KASPROWA NIZNA

Zapora pod Kazimierzem

dokończenie ze str. 7

rozwojowe z uwagi na wykorzystanie naturalnych bogactw mineralnych obu tych połaci, które dotąd są jeszcze przeważnie nietknięte. Dalsza więc intensyfikacja życia gospodarczego tych obszarów wymagać będzie połączeń kolejowych i samochodowych na następujących trasach:

- a) Kielce — Ostrowiec — Józefów — Lublin — Włodawa,
- b) Radom — Lipsko — Józefów — Kraśnik — Szczepczyszyn,
- c) Opatów — Anopol — Kraśnik, oraz
- e) Skarżysko-Kamienna — Hża — Lipsko — Solec — Opole Lubelskie — Bełżyce — Lublin.

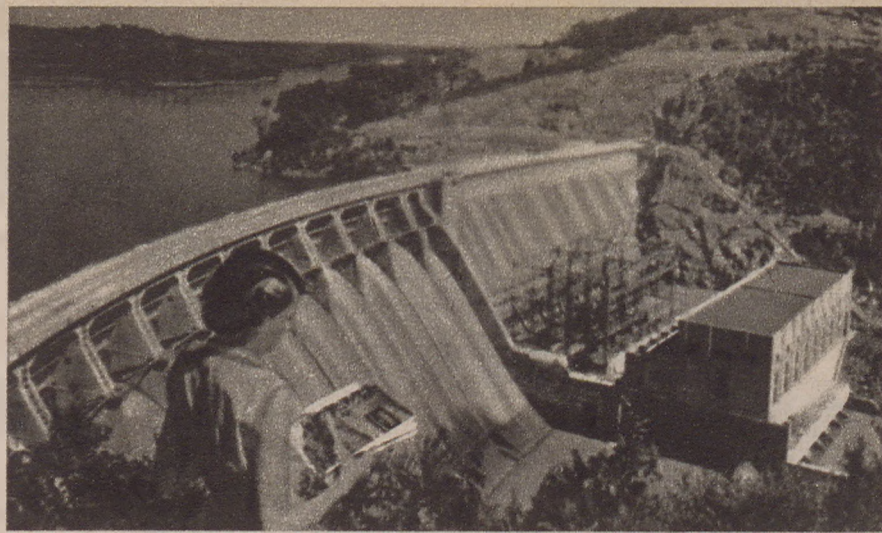
Wybrane w ten sposób ważniejsze tylko kierunki komunikacyjne wymagać będą zapewne stalowych mostów na betonowych podporach w punktach przejścia przez dolinę Wisły pod Solecem, Józefowem, Anopolem i Wilkowem. Dlatego też stwarzanie przeszkody komunikacyjnej w tej części Polski uważam za niemożliwe.

5) Szerokie zalewy jakie są stosowane w warunkach hydrologicznych, klimatycznych i gospodarczych naszego wschodniego sąsiada nie muszą być dobre i korzystne u nas. Honor posiadania w centrum Polski dużej zapory i „śródlądowego morza“ nie rekom-

pensuje strat rolniczych, trudności komunikacyjnych i krzywdy pięćdziesięciotysięcznej ludności. A na tym „śródziemnym morzu“, szczególnie pod Opolem Lubelskim, powstałyby zupełnie inne warunki komunikacyjne, jak na dolnej Wiśle. Powstałaby wysoka fala, co zmuszałoby może do stosowania specjalnych statków i barek, innych niżeli na reszcie Wisły, a to powodowałoby dalsze koszty i inwestycje.

KONKLUZJA:

Wykorzystanie możliwości spiętrzenia Wisły pod Kazimierzem uważam za konieczne i możliwe, ale bez tendencji do gigantyzmu, a więc w nicco skromniejszych, a przez to bardziej dostosowanych do naszych warunków rozmiarach, które przy minimalnych stratach dalyby maksimum zysków w postaci taniej energii i ułatwień komunikacyjnych na magistralnej drodze wodnej jaką jest i będzie Wisła. A więc ograniczyć zalew do 85 względnie 100 km², czyli do obszaru międzywał nieznacznie przekroczony w dolnej części projektowanego jeziora. W oparciu o tak zmniejszoną powierzchnię zalewu zaprojektować wysokość spiętrzenia Wisły. Celem zaś uzyskania jak największej wartości „H“ czyli wysokości piętrzenia, nale-



żałoby całą inwestycję poprzedzić uregulowaniem i zwięzieniem koryta Wisły, szczególnie na odcinku Janowiec-Kazimierz-Puławy, które dzięki wywołanej wzmożonej erozji dennej dalyby obniżenie dna i zwierciadła wody w dolnym odcinku. Zapory wodne na Wiśle pod Zawichostem i na Kamiennej należy traktować odrębnie, ściśle obliczając wszystkie za i przeciw.

Wyrównanie stanu wód na Wiśle

średniej nie wymaga tak gigantycznych inwestycji i moim zdaniem winno być przeprowadzone na Wiśle górnej i jej karpaccich dopływach, a uzupełniane przy wykorzystaniu dopływów świętokrzyskich, ewentualnie górnego Wicprza na Roztoczu. Na samej Wiśle oprócz skromniejsz zrealizowanej zapory pod Kazimierzem wystarczyłyby może poldery retencyjne dla potrzeb żeglugi lub akcji przeciwpowodziowych.

EUGENIUSZ BOROWSKI

Zygmunt Brocki

PIERWSZA W POLSCE KOLEJKA LINOWA

Od zachodu Gdańsk otoczony jest wzgórzami. Jedno z nich nazywa się po prostu Górką; nazwę tę znajdujemy w jednym z przekazów z roku 1277, oczywiście w formie zlatynizowanej: Gorca („nom[en] vill[ae] h [oc est] Gorca“). Wzgórze to leżało w granicach podgdańskiej posiadłości biskupów kujawskich z Włocławka, którzy mieli też na nim swój zameczek; stąd tradycją przekazana dzisiejsza nazwa Biskupia Górka (niem. Bischofsberg).

1 września 1433 roku na wzgórzu tym legły obozem czeskie wojska husyckie i polskie, dążące zwycięskim marszem ku morzu przez poddane zwierzchnictwu wielkiego mistrza Zakonu ziem Nowej Marchii, a następnie przez Chojnice, Pelplin i Tczew. A „było ich tylu na wysokim wierzchołku, że podobni byli do mrówek“ — jak zapisał ówczesny kronikarz. Z wierzchołka Biskupiej Górki Czesci pierwszy raz zobaczyli morze! Szturm na umocniony przez okupujących Krzyżaków Gdańsk jednak wówczas nie podjęto; ówczesna artyleria murom miasta zagrozić nie mogła.

Gdy nośność dział wzrosła, Gdańsk już nie był bezpieczny od strony wzgórz. Zwróciło to uwagę nawet samego króla, Zygmunta III, który się dopominał aby miasto wzgórz ufortyfikowało. Póace te, przede wszystkim na Biskupiej Górze, gdańszczanie wykonali.

Wtedy już całe miasto otoczone było wieńcem nowoczesnych wysokich wałów gwiaździstych, u których stóp ciągnęły się szerokie fosy. Prace te rozpoczęto już w latach 1534—1538; po roku 1589 usypano wały dookoła Starego Przedmieścia, południowej dzielnicy miasta. W roku 1644 przystąpiono do umacniania wałów Starego Przedmieścia i budowy tutaj ziemnych bastionów. Prace te prowadził holenderski inżynier wodny i fortyfikator Adam Wybe z Harlingen¹, w latach 1628—1653 zajmujący w Gdańsku stanowisko miejskiego mistrza budownictwa wodnego, który dla nas

wykonął też szereg innych prac inżynierskich, zarówno w Gdańsku, jak i na innych ziemiach polskich, w Elblągu, w Warszawie, pod Toruniem (w latach 1631—1633 zbudował tutaj most) itd.

Do budowy ziemnych bastionów Starego Przedmieścia i umacniania wałów potrzebne były wielkie ilości ziemi, której w najbliższym otoczeniu czerpać już nie było można. Wybe postanowił więc brać ją z leżącej naprzeciw Starego Przedmieścia Biskupiej Górki. W tym celu zbudował kolejkę linową, którą połączył szczyt Biskupiej Górki ze Starym Przedmieściem, przeprowadzając ją ponad kanałem rzeki Raduni, z południa na północ przecinającej podgdańskie posiadłości biskupów kujawskich, i ponad szeroką fosą leżącą tuż pod wałem. Była to kolejka jednolinowa: lina nośna, utrzymująca wagoniki, była jednocześnie liną pociagową. Konopna lina prowadzona była na drewnianych rostkach, umieszczonych na wysokich słupach. Kolejkę tę upamiętnił ródak Wybe, urodzony w Hadze, współczesny sztycharz gdański Wilhelm Hondiusz, na sztychu, który tutaj reprodukowujemy². W owych czasach kolejka ta była konstrukcją nadzwyczajną i dlatego powszechnie ją podziwiano³.

Dość warto, że Wybe był w ogóle zdolnym inżynierem, nie tylko fortyfikatorem lecz i mechanikiem, konstruktorem i w tym ostatnim zakresie kolejka linowa nie była jedynym jego dziełem; zbudował on także pogłębiarkę o napędzie zwierzęcym (urządzenia czerpalne pogłębiarki poruszane były przez woły, konie), aparat do prac podwodnych, stację pomp pozwalającą podnosić wodę do wysokości 100 stóp, itd. Z fortyfikacji zbudowanych przez niego na Starym Przedmieściu w Gdańsku, do których materiał ziemny transportował ową przemysłową kolejką z Biskupiej Górki, pozostał ledwie widoczny ślad; dziś tylko dokładny znawca Gdańska może wskazać ślad pozostały po jednym z ich bastionów...



Kolejka linowa z Biskupiej Góry pod Gdańskiem, wg. sztychu W. Hondiusza. Ze zbiorów Biblioteki PAN w Gdańsku.

¹ Są liczne odmianki tego nazwiska, np. na reprodukowanym tu sztychu mamy Wybe Adam i Adami Wiebe, w innych latach: Wiebe Adams, Wiebe Adams, Wibe Adam, w literaturze o nim najczęściej Adam Wiebe (zob. też przypis 2). Ostatnie wydawnictwa „Biblioteki Gdańskiej“ b. Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku: „Portrety i sceny polskie w sztychach Falcka i Hondiusza“ oraz J. Stankiewicza „Strakowsy — fortyfikatory, architekci i budowniczowie Gdańscy“, albumy wydane w roku 1955 — podają to nazwisko w formie Wijbe.

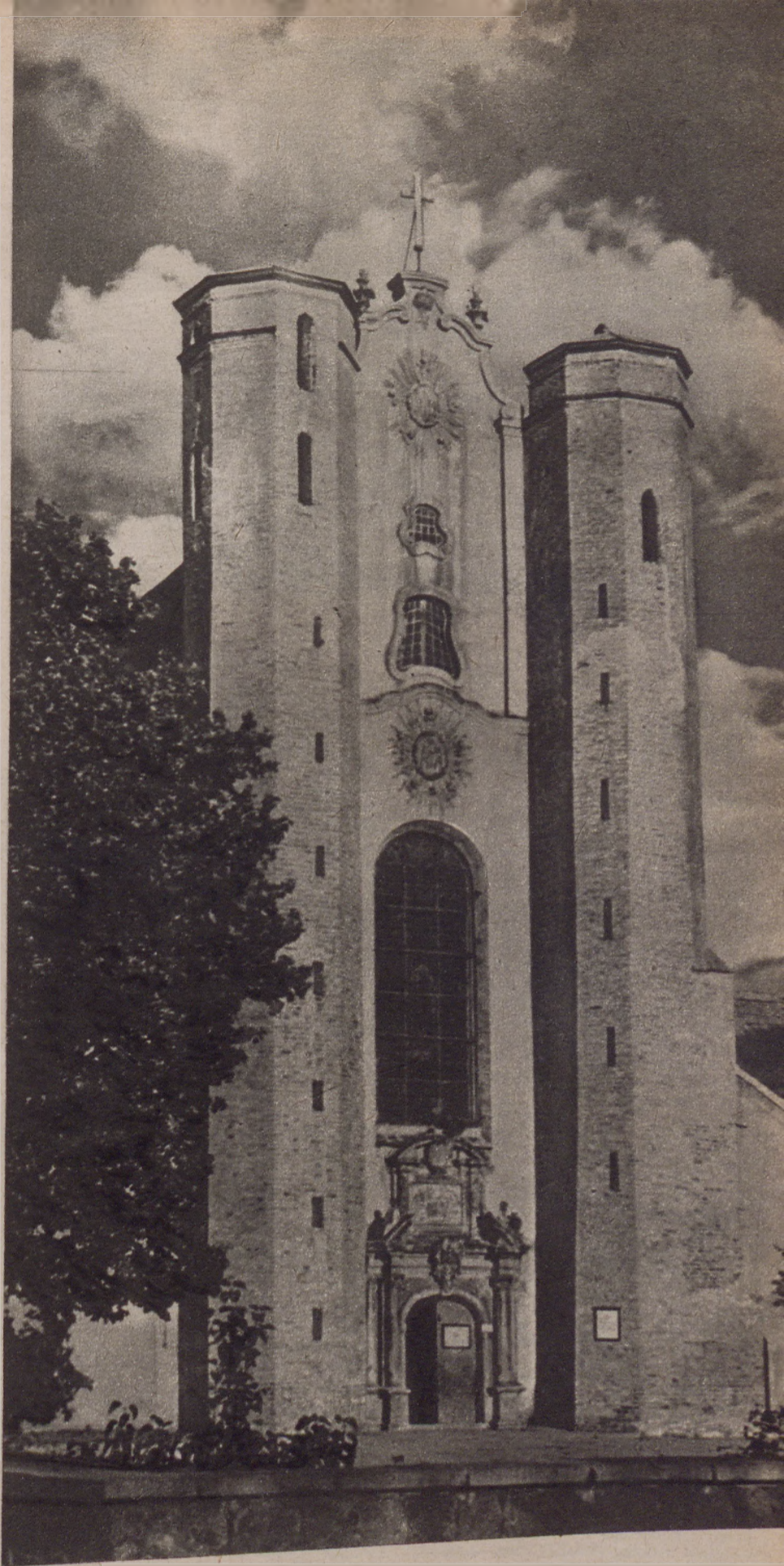
² Omówił ten sztych oraz wiele szczegółów z działalności Wybego po-

dal, dr A. Tutein Nolthenius, także Holender w artykule pt. „Wiebe Adams (Adam Wybe) uit Harlingen, de uitvinder van de kabelbaan van massavervoer, bouwte deze in 1644 te Danzig“ („Wiebe Adams z Harlingen, wynalazca kolejki linowej do transportu ładunków masowych, zbudowanej w Gdańsku w roku 1644“), w mies. „Weg en Waterbouw“ 1948 nr 5/6 s. 54—64.

³ Rozwój kolejek linowych rozpoczął się jednak dopiero po roku 1837, w którym zbudowano pierwszą maszynę do wyrobu lin stalowych. Dziś kolejki linowe mają bardzo szerokie zastosowanie jako bardzo tani środek transportu.

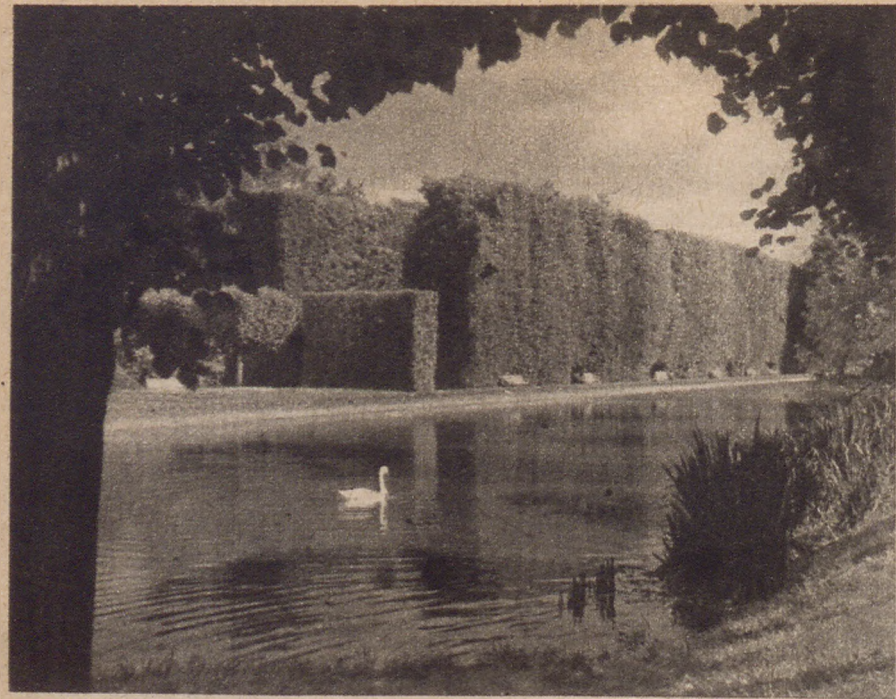
OPACTWO CYSTERSÓW

DO R. 1918 OLIWA ZNAJDOWAŁA SIĘ W OBRĘBIE RZESZY NIEMIECKIEJ, PÓŹNIEJ ZAŚ NA OLSZARZE NIEPRIYJAZNEGO NAM WOLNEGO MIASTA GDAŃSKA. UTRUDNIAŁO TO DOSTĘP DO OPACTWA POLSKIM HISTORYKOM SZTUKI I TYM ZAPEWNE TŁUMACZY SIĘ OKOLICZNOŚĆ, ŻE NIE MAMY Z TYCH CZASÓW ŻADNEGO POLSKIEGO OPRACOWANIA TEGO TEMATU. DZIWNIEJSZE, ŻE OD CZASU POWROTU GDAŃSKA DO POLSKI W R. 1945 POLSCY HISTORYCY SZTUKI NIE ZAJĘLI SIĘ JESZCZE POWAŻNIEJ TYM, Z WIELU WZGLĘDÓW GODNYM UWAGI ZESPOŁEM ZABYTEKÓW.



N A P I S A Ł
MIECZYŚLAW WALLIS
F O T O G R A F I E
T A D E U S Z C H R Z A N O W S K I

W OLIWIE



Park w Oliwie

OPACTWO

cystersów w Oliwie sięga swymi początkami końca dwunastego wieku. Ani fundator klasztoru, ani data jego założenia nie jest dokładnie znana. Według tradycji miejscowej opactwo założył książę pomorski Subisław I Stary, który po przyjęciu chrześcijaństwa miał w r. 1170 sprowadzić do Oliwy cystersów z klasztoru w Kolbaczu pod Pyrzycami, na Pomorzu zachodnim. Pierwsza pewna wiadomość o opactwie oliwskim jest wszakże o kilka lat późniejsza: zawiera ją dokument z dnia 18 marca 1178 r., podający informację, iż książę pomorski Sambor nadal siedem wsi zakonnikom, „którym pobożność kazała się osiedlić w miejscu zwanym Oliwą”. Prawdopodobnie wnieśli oni tutaj najpierw kościół drewniany i najważniejsze pomieszczenia klasztorne. Na początku XIII wieku powstała późnoromańska murowana trójnawowa bazylika z nawą poprzeczną. Po dwukrotnym zniszczeniu Oliwy przez pogan w r. 1226 i 1236 cystersi odbudowali kościół, przedłużając go o dwa przęsła w kierunku zachodnim, gdy zaś w r. 1350 wielki pożar strawił niemal doszczętnie opactwo, kościół został odbudowany i rozbudowany w stylu surowego cysterskiego gotyku. Przedłużono go w kierunku wschodnim i — po raz drugi — w kierunku zachodnim tak, że świątynia osiągnęła teraz pokazną długość 97,6 m (kościół N. P. Marii w Gdańsku ma 105 m długości, jest więc tylko o parę metrów dłuższy). Poszerzono też nawę północną i otoczono prezbiterium obejściem, zaś od strony południowej dobudowano do kościoła opacką kaplicę Św. Krzyża. Wreszcie, po obu stronach fasady zachodniej wzniesiono dwie wysokie i smukłe wieże.

W drugiej połowie w. XIII książęta pomorscy uczynili z kościoła oliwskiego swój kościół grobowcowy i raz po raz hojnie obdarowywali klasztor. Nic więc dziwnego, że w ciągu wielu wieków był on przedmiotem pożądliwości i zawiści. W r. 1577 motloch gdański mszcząc się na sprzyjającym królowi Stefanowi Batoremu opacie zniszczył kościół i klasztor. Król zmusił gdańszczan do zapłacenia 20.000 talarów na rzecz opactwa i w latach następnych kościół został odbudowany. Dawny pułap drewniany zastąpiono wtedy wysokim gwiaździstym sklepieniem gotyckim.

W końcu XVI wieku i w pierwszych latach XVII wieku do surowego gotyckiego wnętrza świątyni renesans wnosi brąz wspianych stali dębowych i migotliwą barwność nowego ołtarza wielkiego, rzeźbionego w drzewie dębowym przez gdańszczanina Wolfganga Spoerera, ogromnego, suto polichromowanego i złoczonego (obecnie w północnym ramieniu nawy po-

przeczej). Wieloma kondygnacjami piętury się ów ołtarz ku górze: ponad grupą środkową św. Trójcy wznosi się Matka Boska między Mojżeszem, a św. Janem Chrzcicielem, ponad nią — św. Bernard, odnowiciel zakonu cystersów, wreszcie — na samym szczycie, niemal pod sklepieniem świątyni — wystrzela krzyż z rozpiętym na nim Chrystusem. Po obu stronach Św. Trójcy wielofigurowe płaskorzeźby przedstawiają sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Wszystko ujęte w bogatą oprawę architektoniczną, obramowane kolumnami korynckimi, fryzami, gzym-sami, wspornikami, wolutami, oblepione kartuzami, głowami aniołów i lwów, kiśmi winogron. Rzeźbione postacie świętych mają kształty pełne i okrągłe, architektura ołtarza posługuje się kolumnami i belkowaniem antycznym. Nie brak tu też ornamentów antyczo-renesansowych.

Na początku XVII w. opat Dawid Konarski dobudował do kościoła jeszcze dwie kaplice: obszerną kaplicę Mariacką od południa (ok. 1600) i mniejszą chrzcielną kaplicę Pięciu Ran Pana Jezusa, zwaną też kaplicą św. Jana Nepomucena, od północy (ok. 1610). Tenże opat umieścił w prezbiterium portrety książąt pomorskich i królów polskich (1613) i ufundował sarkofag książąt pomorskich (1615).

Okolo r. 1620 na tle zachodniej ściany nawy północnej ustawiono okazały nagrobek szlacheckiej rodziny pomorskiej Kossów. Przypisuje się go rzeźbiarzowi holendersko-gdańskiemu Wilhelmowi van den Blocke. Tumba nagrobka jest z różnokolorowego marmuru, postacie z piaskowca. Ojciec i starszy syn w zbrojach rycerskich, matka w kwefie, młodszy syn w kon-

tusiku modlą się na kłęczkach u stóp krucyfiksu. Architektura tumb i rzeźba postaci nie wznosi się ponad przeciętność, mimo to nagrobek wywiera pewne wrażenie dzięki korzystnemu ustawieniu w końcu długiej nawy. Jeden szczegół zasługuje też w tym nagrobku na uwagę. Obaj rycerze kłęczą wyprostowani, zastygli w sztywnej uroczystej postawie. Podobnie matrona. Tylko postawa kłęczącego dziecka jest bardziej swobodna i z jego nóżki osuwa się pantofelek. Ten drobny rys realistyczny i rodzajowy wnosi pewien pierwiastek intymności do reprezentacyjnego nagrobka. Zarazem mamy tu ujęcie czegoś przejściowego, chwilowego. To i tamto zapowiada pewne rysy sztuki baroku, zawarte w upodobaniu do przedstawiania tego, co krótkotrwałe.

W r. 1620 został pochowany w kościele Reinold Heidenstein, sekretarz króla Stefana Batorego i znakomity historyk jego czynów wojennych, rodem z pobliskiego Sulęcina. Wmurowana ku jego czci w obejściu kościoła tablica pamiątkowa zawiera życiorys dziejopisarza, opowiedziany w pierwszej osobie.

W latach następnych nawę północną i obejście dokola prezbiterium zakwitają barokowymi ołtarzami z różnokolorowych marmurów alabastru i stiuku, zwieńczonymi herbami opatów-fundatorów.

Wspaniały rozmach i gest wyczuwany we wszystkich poczynaniach opata Michała Antoniego Hackiego (1683—1703), zręcznego dyplomaty, mistrza w sztuce odczytywania szyfrów, poety lacińskiego i autora dzieł treści ascetycznej. W r. 1688 zastąpił on renesansowy portal fasady bogatym portalem barokowym, który zdobi ją dotąd. W tym samym roku przeniósł on renesansowy ołtarz Św. Trójcy z prezbiterium do północnego ramienia nawy poprzecznej i postawił na jego miejscu nowy ołtarz wielki — olbrzymią kolumnadę z czternastu kolumn korynckich z czarnego marmuru. Stanowi ona obramowanie architektoniczne dla obrazu malarza gdańskiego Andrzeja Stecha, przedstawiającego grupę mnichów, adorujących Matkę Boską i św. Bernarda, patronów zakonu, unoszących się w obłokach. W r. 1715 dach kościoła został pokryty miedzią.

Za rządów ostatniego polskiego opata Józefa Jacka Rybińskiego, sprawującego urząd opacki od r. 1740 do 1772, do wnętrza kościoła wkracza tryumfalnie rokoko, roztańczając w nim pastelowe tony swych polichromii ściennych i biel stiuków. Barokowa kaplica św. Jana Nepomucena i gotycka kaplica Św. Krzyża zostają przekształcone w stylu rokokowym. W kaplicy Św. Krzyża przymocowuje się do pilastrów lustra. Nadają one wnętrzu pewien akcent świecki, przemieniają je w salonik, nieledwie w buduar. W zachodniej części świątyni przebudowuje się w stylu rokokowym sień i chór organowy i wznosi się sławne organy. Po lewej stronie prezbiterium wyrasta rzeźbiona w drzewie lipowym, czarna i złota kazalnica. Nad marmurową kolumnadą ołtarza

wielkiego rozpościera się ogromną dekorację stiukową, przedstawiającą obłoki, na których unoszą się Mojżesz z tablicami przykazań i Chrystus z krzyżem, aniołowie i święci, adorujący wyobrażoną pośrodku na witrażu Św. Trójcę. Wreszcie, przedsięwzięcie może najśmielsze, między surowe gotyckie wieżycę z czerwonej cegły fasady zachodniej wstawia się biało tynkowaną ścianę z rokokowymi oknami i szczytem. Same wieże otrzymują również barokowo-rokokowe helmy ze spiczastymi iglicami.

Po pierwszym rozbiore Polski w r. 1772 Oliwa przeszła pod panowanie pruskie. W r. 1831 zniesiono klasztor i kościół przemieniono na parafialny. W r. 1833 pokryto wapnem freski i polichromie we wnętrzu kościoła i pomalowano na szaro kolumny ołtarza wielkiego. W r. 1835 zdarto miedziany dach kościoła i zastąpiono go łupkiem. Dodatki XIX i XX wieku są w kościele na szczęście nieliczne i nie rzucają się zbyt w oczy. W czasie wojny, w r. 1945, spłonęły helmy obu wież kościelnych.

Zarówno zewnątrz jak wewnątrz kościół oliwski jest przedziwną mozaiką różnych stylów — od gotyku do rokoka. Bodaj najbardziej niezwykłe jest przy tym połączenie gotyku, baroku i rokoka w fasadzie świątyni. Między surowymi wieżami gotyckimi z czerwonej cegły wznosi się tu bogaty barokowy portal z ciemnoszarego kamienia, nad nim zaś rokokowa, pogodna, biało tynkowana ściana. I co najdziwniejsze wszystko razem tworzy malowniczą i szczęśliwą całość.

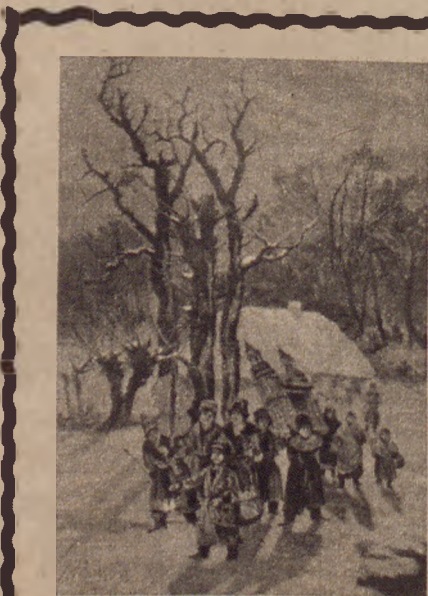
Podobnie jak kościół były również wiele razy odbudowywane także i inne pomieszczenia opactwa. Z dawnych budynków klasztornych pozostało zresztą dzisiaj niewiele: pochodzący z drugiej połowy XIV wieku krużganek gotycki; sala kapitulna z tego samego okresu, wsparta na dwóch smukłych ośmiobocznych granitowych kolumnach (obecnie zakryta); umywalnia — pomieszczenie ośmiokątne w stylu z r. 1601; dawny refektarz zimowy; wreszcie refektarz letni, wzniesiony w latach 1593/94 przez mistrza Bartłomieja Pipera, wsparty na trzech granitowych kolumnach. Dokola tego refektarza biegnie fryz z portretami 50 opatów oliwskich, częściowo fikcyjnymi, częściowo — od połowy XVI w. — autentycznymi.

Z opactwem w Oliwie wiąże się wiele wspomnień historycznych. Ponad 30 członków rodu książąt gdańsko-pomorskich ma spoczywać w podziemiach kościoła. W r. 1587 Zvgmunt III zaprzysiął uroczyste w kościele oliwskim pacta conventa. Dnia 3 maja 1660 r. podpisano w refektarzu zimowym po długich rokowaniach pokój między Polską, Szwecją i Brandenburgią, kładący kres wojnom polsko-szwedzkim. Wielu innych królów polskich odwiedzało później klasztor oliwski i odbierało tutaj hołdy od gdańszczan.

Zarówno kościół jak i klasztor obfitują w polonica. Należą tutaj portrety królów polskich w prezbiterium; orzeł biały i portrety opatów XVI—XVIII wieku w refektarzu letnim; tablica w krużganku na pamiątkę pokoju w Oliwie; płyty nagrobkowe, tablice pamiątkowe i tarcze z herbami opatów polskich itd.

Z kościołem sąsiadował od wschodu jednopiętrowy pałac opatów. Opat Jacek Rybiński wznosił go w latach 1750/54 w stylu rokokowym. W r. 1945 Niemcy podpalili pałac; zostały po nim tylko ruiny — niedopalone mury i trochę detali architektonicznych. Ale jeszcze każde łagodne wygięcie muru, każdy zgrabny wykrój okna, każdy rzucony jakby od niechcenia ornament stiukowy — jakiś pęd roślinny, gałązka, motyw chiński — pagoda, wieża lub kładka, każdy deśń żelaznej balustrady okna lub balkonu mówi tutaj o pogodnym epiku-reizmie XVIII wieku, o subtelny wyrafinowanym używaniu życia. Nawet ruina tego pałacu ma jeszcze uśmiech i wdzięk.

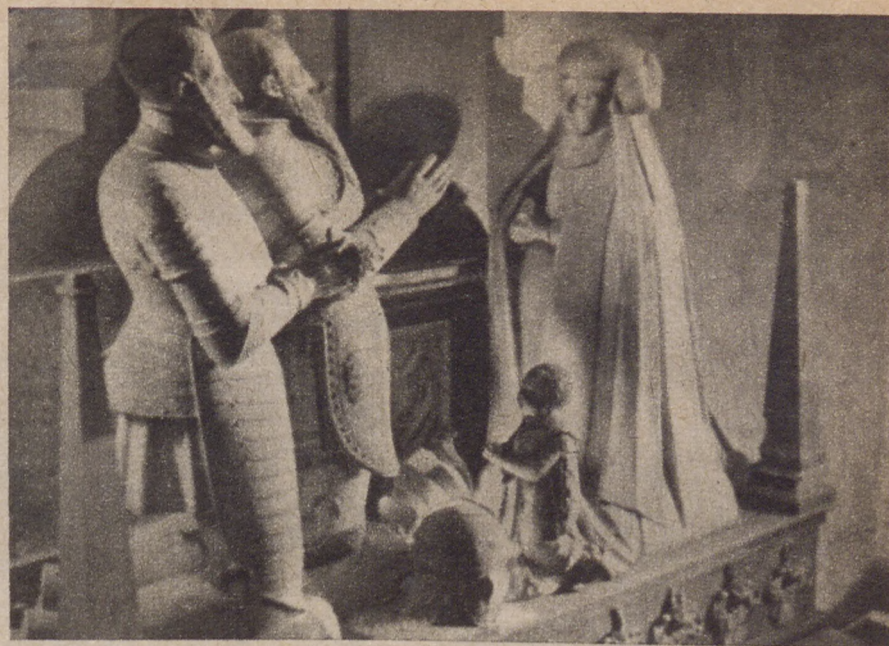
Opaci oliwscy byli mecenasami sztuki. O ich pasji budowania świadczą wzniesione przez nich części kościoła i klasztoru. Ale opaci oliwscy byli nie tylko protektorami sztuk plastycznych; patronowali także muzyce.



WESOŁYCH
I ŚWIĄT
SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO
ROKU
ŻYCZY
CZYTELNIKOM
REDAKCJA ZIEMI



„Sala Pokoju” w klasztorze.



Nagrobek Kossów, kościół w Oliwie.

Już w r. 1603 organmistrz Kry-
stjan Heymann buduje pierwsze, nie-
zbyt jeszcze doskonale organy w ko-
ściele oliwskim. W wieku XVIII kil-
kadziesiąt lat ciągnie się budowa no-
wych organów, najpierw małych, po-
tym wielkich (Jan Michał Wulf i An-
drzej Dalitz). Ich rozmiary, skompli-
kowana mechanika i okazała dekora-
cja rzeźbiarska świadczą o wadze, ja-
ką przykładano w Oliwie do gry na
tym instrumencie. Jeszcze inne dane
świadczą o tym, że w Oliwie upra-
wiano z zapalem muzykę: do nowicja-
tu przyjmowano przede wszystkim
młodzieńców dysponujących ładnym
głosem lub grających na jakimś in-
strumencie. Co więcej, sprowadzano

wybitnych wirtuozów z zagranicy,
zwłaszcza z Czech. Dzięki temu zespół
wokально-instrumentalny opactwa sły-
nał szeroko w całej okolicy. W uro-
czyście święta urządzano koncerty w
kościelne. W samym pałacu opackim
wielka sala pierwszego piętra służyła
jako sala koncertowa.

Pałac ostatniego polskiego opata
uległ zniszczeniu, ale ocalał założony
również przez niego wspaniały park.

W parku tym nietrudno rozróżnić
dwie części. Stojąc przed frontem pa-
łacu mamy przed sobą dywanowe
kwietniki o prawidłowych deseniach
i na rogach ciszy wycięte w stożki, da-
lej zaś — prostopadle do fasady pa-
łacu lub równoległe do niej — dłu-

gie, proste aleje, obramowane wyso-
kimi ścianami strzyżonych lip i gra-
bów. Wzdłuż jednej z nich ciągnie się
prostokątna sadzawka.

Jedna z alej rozwidła się na kilka
krętych ścieżek; wiodą one do dwóch
stawów o nieregularnych zarysach,
otoczonych malowniczymi grupami
płaczących wierzb i ciemnych olch.

Mamy tu więc część wzorowaną na
francuskich ogrodach barokowych,
przede wszystkim na parku wersal-
skim i część założoną na modłę an-
gielskiego ogrodu wczesnoromantycz-
nego. Przyroda pozostawiona jakby
samej sobie kontrastuje z przyrodą
ujętą w prawidłowe figury i bryły,
kompozycja malarska — z konstruk-

cją architektoniczną. urok przypadku
i niespodzianki — z pięknem logiki
i geometrii. Bogactwo kontrastów i
rozmaitość widoków, dalej wesoła
barwność kwietników i przepych star-
rych bujnie rozrośniętych drzew roz-
łożystych kasztanów i dębów, olbrzy-
mich topoli i wiązów, puszystych mo-
drzewi, srebrnych świerków i purpu-
rowych buków czynią park oliwski,
mimo jego stosunkowo niewielkich
rozmiarów, jednym z najpiękniejszych
ogrodów w Polsce. Ma on przy tym
w swej części barokowej, pewien ak-
cent, którego mógłby mu pozazdrościć
nawet park wersalski. U wylotu jed-
nej z głębokich alej widać w odda-
li — morze.

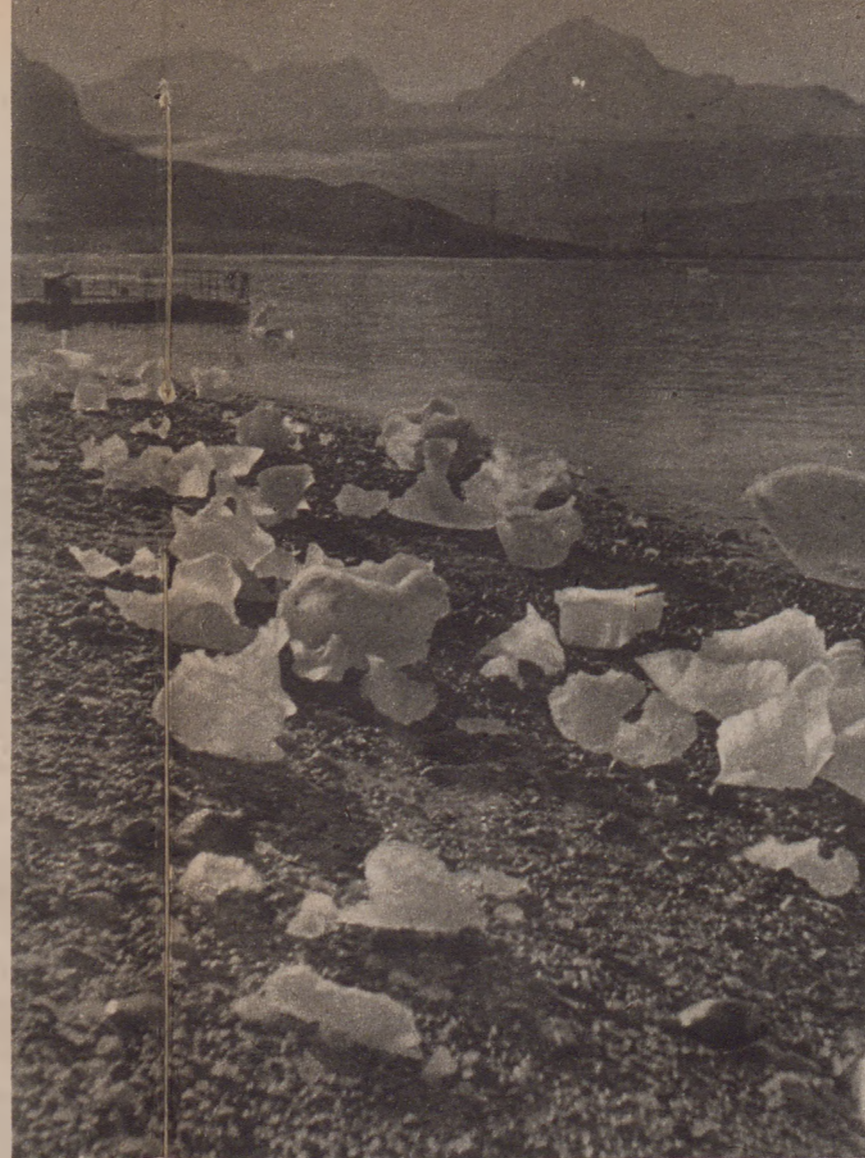
Widok katedry w Oliwie, od strony parku.





Pływające lody w fiordzie Hornsund.

Tekst i
fotografie:
MACIEJ
KUCZYŃSKI



SVALBARD



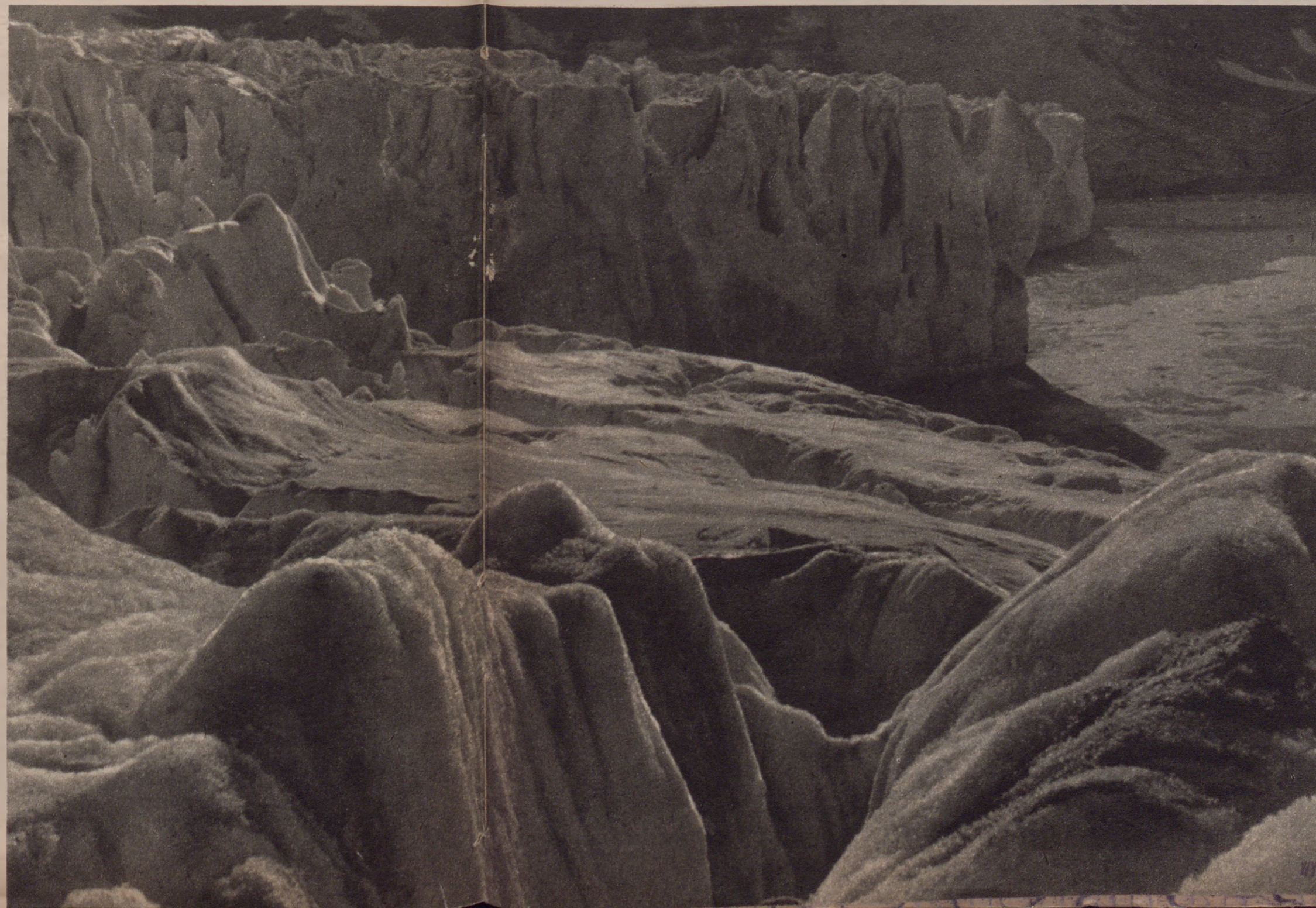
Statki polskiej ekspedycji polarnej.



Zsuwający się do morza lodowiec pęka, rodząc pływające góry lodowe.



Polska wyprawa ląduje na Svalbardzie.



P przed niewieloma dniami powróciliśmy ze Svalbardu. Chodzimy pod nagimi drzewami krakowskich plant, pod arkadami Warszawy, po wrocławskich placach. Słuchamy warkotu samochodów i tramwajowych dzwonek, patrzymy na lśniące wilgocią asfaltowe jezdnie. Ale tak naprawdę...

Naprawdę to wciąż należymy do tamtego kraju. Stąpamy ciężkimi

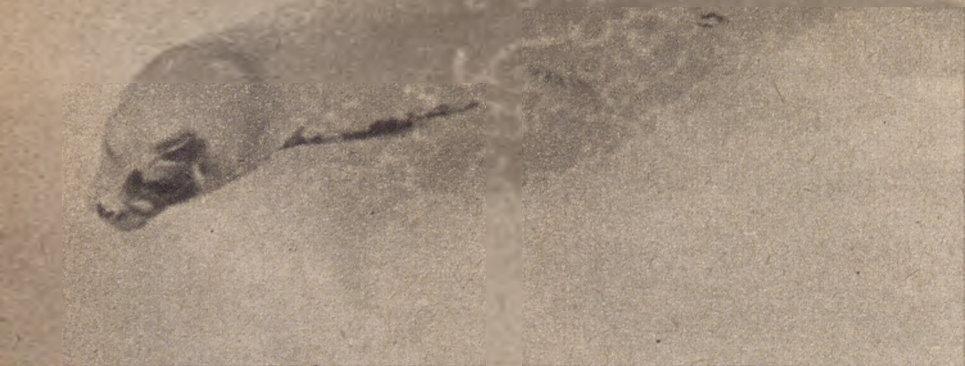
butami po mokrych żwirach na plaży, po kruchych bryłach lodowego szkliwa rzuconego na brzeg przez fale. Omijamy cuchnące zwalę laminarii, schnące liście i lodzigi zielonego wodorostu. Skaczemy przez wybielone, obdarte z kory kłody drzewa dryftowego. Spod przybrzeżnych skałek uciekają na morze gromadki kaczek kryjąc się za czarnymi zębami szerów i postrzępionych głazów rozszanych po zatoce. Po stronie przeciwnej od morza, za wąskim pasem przybrzeżnej tundry, wystają góry. Czerwone zbocza kruchych łupków, a pomiędzy nimi szeroko otwarte wyloty dolin i kłębiące się w nich mgły, błyskające białą czapą lodowców, śnieżne żłebki.

Nocą słońce wisi tuż nad horyzontem, długie, cienie rozsuwają się po całym kraju, po wytopionej słońcem powierzchni lodowców. Milkną senne kolonie ptaków na pionowych urwiskach, a wielkie drapieżne mewy zasiadają na wysokich kamieniach panujących nad okolicą i na pół drzemiac lustrują tundrę, kępy mchu i trawiaste wyniosłości, pomiędzy którymi myszkuje lisy.

Wiele razy maszerowaliśmy tak wybrzeżem i dalej w głębi kraju, po wytopionej słońcem powierzchni lodowców, lub wspinając się na czerwone stoki starych gór. Ukazywały się nam ogromne misy dolin poryte misterną siateczką srebrnych strumieni i rozległe lodowe płaskowyże. Wszędzie tam były miejsca, których nie dotknął jeszcze człowiek. Nie tylko Polak, ale żaden w ogóle. Żaden z traperów spędzających samotne zimy w drewnianych chatkach nad fiordami, żaden z łowców wielorybów, nikt z topografów, biologów, geografów uczestniczących w ekspedycjach naukowych przemierzających kraj na nartach czy pieszo każdego roku.

Svalbard jest archipelagiem kilku wielkich i niezliczonej ilości małych i zupełnie drobnych wysepek, należących do Norwegii. W największym osiedlu węglowym leżącym na wyspie Spitsbergen, jest siedziba Syselmana — norweskiego gubernatora Svalbardu, sprawującego władzę w imieniu Królestwa nad całą krainą, nad szczupłą garstką ludzi skupionych przy paru kopalniach, nad kilkunastoma traperami i ich okręgami łowieckimi.

Ale oprócz Norwegów żyjących na Svalbardzie stale lub tylko sezonowo, rokrocznie przybijają tu statki wiozące obce ekspedycje naukowe. Trzy i półmilionowa Norwegia nie byłaby w stanie zbadać własnymi siłami północnej posiadłości. I gdy oglądamy mapę Svalbardu, widzimy na niej dziesiątki nazw o nienorweskim brzmieniu. Jest tam również spory obszar kraju noszący nazwy polskie. Są całe łańcuchy górskie



i rozległe polacie lodowe ochrzczone przez Norwegów polskimi imionami. Waweltoppen i Ostra Bramatoppen, Warszawaryggen, Kopernikusfjellet, Polakkbreen, a obok nazwiska ludzi, którzy jako pierwsi przemierzali te obszary ciągnąc własnymi siłami ogromne sanie bagażowe, wdzierając się na strome przełęcze i przebywając szczytami w lodowcach. Działo się to w trakcie wypraw 1932/33, 1934, 1936, 1938 roku, a obecnie nad fiordem Hornsund, na Spitsbergenie działa następna polska wyprawa, pierwsza po wojnie. Nie chcę tu wiele pisać o sensie i znaczeniu tej wyprawy dla naszej nauki, o tym że każda wyprawa działająca poza terenem własnego kraju staje się czynnikiem w najwyższym stopniu ożywiającym i pobudzającym rozwój śmiałej myśli i inicjatywy badawczej także wewnątrz kraju, o tym że udział w rozwiązywaniu wielkiej, aktualnej problematyki światowej pomaga we właściwym skierowaniu i unowocześnieniu badań własnych terenów. Chcę zwrócić uwagę na coś innego.

Czyż nie jest prawdą, że każda egzotyczna wyprawa ma w sobie coś magicznego? Czyż nie jest prawdą, że każdy kto czyta opis obcego kra-

ju, kogo interesują postępy odkrywczych prac ekspedycji w jakimkolwiek zakątku ziemi, zaczyna inaczej spoglądać na to, co go otacza? Dostrzega „egzotyczne” elementy krajobrazu własnego kraju. Zwraca uwagę na to, do czego przywykł od dawna, a co nagle ukazało mu się pod egzotycznym imieniem. Jeśli ma dość fantazji, potrafi wówczas każdy swój krok po ścieżkach, które znał od dzieciństwa, zamienić we własne „wyprawy”. W każdej chwili może zmienić się w cudzoziemca kroczącego ulicami własnego, ale nagle obcego i nieznanego mu miasta, może powędrować drogami przez zdumiewające na każdym kroku wsie „tubylców”, może wspinać się po zboczach gór, gdzie w miejsce opuncji i wyniosłych lobellii rosną czerwone sosny. Każdy kamień, kapliczka na dębie, kępa traw, trop zwierzęcia, resztki murów, wszystko to dotąd obojętne i nieciekawe stanie się przedmiotem obserwacji. Okaże się też, że wiele z tych rzeczy, choć tak zdawałoby się pospolitych i powszednich, nie jest jeszcze bliżej poznanych: opisanych, że ich forma czy obecność w danym miejscu są prawdziwymi małymi rewelacjami.

MACIEJ KUCZYŃSKI

Tę płaskorzeźbę wypaloną z czerwonej, nieglazurowanej gliny znaleziono w jednym z domków na przedmieściu Parczewa. Wisiała na ścianie spełniając rolę „świętego obrazka”. Czy początkowo była nim istotnie? Pochodzi rzekomo z żydowskiej manufaktury ceramicznej, która istniała w Parczewie z końcem ubiegłego stulecia. Dolna część płaskorzeźby dawno już uległa zniszczeniu. Być może znajdowało się tu naczynko na święconą wodę? A może całość była po prostu ozdobą wieniecącą piec kaflowy? Jednakże nie tyle pierwotna funkcja tej ozdobnej płaskorzeźby co sam fakt znalezienia tego przedmiotu w Parczewie, zasługuje na pilniejszą uwagę. Oto jeżeli będziemy wierzyć relacjom garncarskich rodzin w Parczewie, a następnie gdy obejrzymy wyroby ostatniego miejscowego garncarza, nie nabierzemy zbyt wysokiego mniemania o tutejszym kunszcie ceramicznym. Prawda że siwe, zdobione gładzeniem naczynia parczewskie wzbudzały nieraz już podziw na wystawach dzięki swym artystycznym, a jednocześnie prymitywnym kształtom, lecz w gruncie rzeczy jest to typ popularnej ceramiki użytkowej, charakterystyczny dla wielu garncarzy lubelskich. Po starym ośrodku cechowego garncarstwa w Parczewie można by się spodziewać bardziej urozmaiconego asortymentu produkcji. Tymczasem w miasteczku brak jest nawet tradycji tego rodzaju wyrobów. Dopiero to znalezisko pozwala przypuszczać, że niegdyś tutejsi garncarze produkcję swą nastawiali nie tylko na potrzeby wiejskiego klienta. Kto wie, może jeszcze niejedna pamiątka artystycznego garncarstwa parczewskiego kryje się w nędznych mieszczańskich domkach?

L. Dzięgiel



PŁASKORZEŻBA

Mówiąc o Szydłowie jak o mieście popelniamy zasadniczo nieścisłość, Szydłów bowiem już dawno utracił swe prawa miejskie, stając się do rzędu osiedla. Ani liczba ludności, ani jej skład socjalny czy zawodowy nie różni go dzisiaj od jakiejkolwiek wioski. A jeśli są różnice między mieszkańcami Szydłowa a ludnością okolicznych wsi, to różnice te przemawiają na ich niekorzyść. Są wykładnikami nędzy osady, która utraciwszy podstawy swego miejskiego bytu, nie stała się właściwą wsią, swym ukształtowaniem przestrzennym nie będąc dostosowana do rolniczego charakteru osiedli wiejskich.

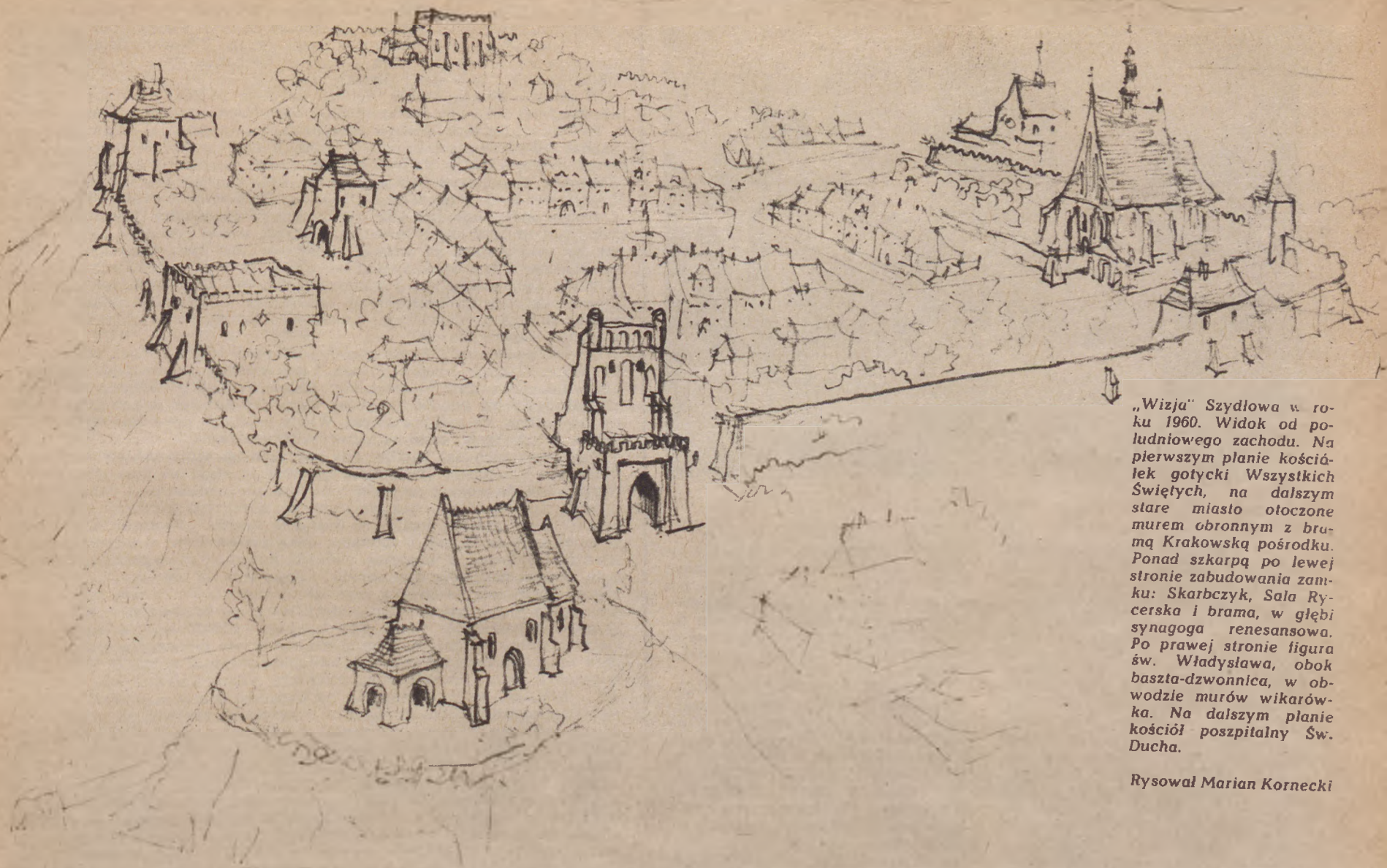
Szydłów w świadomości przybywającego pozostanie jednak miastem; niezatarte znamiona miejskiej przeszłości utrwalone zostały w zachowanych kamiennych budowlach średniowiecznych i w niemniej odległej historii:

Szydłów, wzmiankowany jeszcze w XIII wieku, otrzymuje w r. 1329 prawa miejskie z rąk Władysława Łokietka; w r. 1355 Kazimierz Wielki otacza miasto murami i wznosi istniejącą do dziś farę św. Władysława, podobno jako zadośćuczynienie za utopienie Baryczka, wikariusza katedry krakowskiej. Największy rozkwit miasta przypada na wiek XVI, wtedy Szydłów wymieniany jest w licznych przywilejach i nadaniach. W połowie tego wieku liczy przeszło dwieście domów, posiada cechy rzemieślnicze i własne wodociągi.

Ale „roku 1630 żołnierz swawolny i z nim połączona chciwa kupa łotrów, zbliżyły się dybając na obdarcie bogatego podtenczas Rakowa, lecz to miasto znacznym okupem byt swój ocaliło. Swawolna kupa chcąc także co wystraszyć udała się do Szydłowa. Stanisławski Starosta, który wtenczas dowodził, kazał bramy zamknąć miasta i ufając w obronnej posiadzie do odparcia napadu przygotował się. Łotry mszcząc się ogień na przedmieściach podłożyli; ogień ten dostał się do miasta, do którego ugaszenia gdy woda z dwóch tylko studni w mieście i zamku będąca niedostarczała, gmachy wszystkie ogniem spłonęły, mieszkańcy zaledwie życie przez jedną bramę unosząc się uratowali, a swawolna żołnierska kupa, zarwawszy nieco łupu, bezkarnie rozprzecznęła się”. Przeszło sto lat później, z kolei mieszkańcy Szydłowa w bezceremonialny sposób upominali się o swoje prawa. I tak, w liście w 1777 r. król Stanisław August pisze do nich: „...iż wy obywatele miasteczka, za zuchwalstwem i buntem idąc wójta, od winnego posłuszeństwa wydzieracie się, jurysdykcją starościąską ponizacie, dekreta starościąskie za nieważne macie i do akt swoich przyjmować nie chcecie, propinacją w ratuszu do Starostów należąca i karczmę od 30 lat wybudowaną, gwałtownie odbieracie, a naostatek przyśliście do tego stopnia zuchwalości, iż nagromadziwszy poddaństwo w wsiów: Potoka, Życiny, Gacki, Pierzchnicy i zebrawszy się do liczby 300 osób bez żadnych czynionych sobie przykrości, jedynie tylko z swawoli, hultajstwa i buntu wójta, wyzaliście się najść na dom W. Sołtyka Wdy Sandomierskiego pod pretextem żądanej z inwentarza jakowejś ulgi, z nieporównanym hałasem i krzykiem, nie zważając na oświadczenie sklonienia się tegoż Wdy do prośb waszych, ale z ostatnią obelgą i krzywdą dla Sty naszego, pod oknami nieposłuszeństwo wypowiedzieliście. Przeto was, a w szczególności wójta upomnieć umyśliłiśmy i surowo przykazujemy: abyście Wojewodzie Ście naszemu posłuszni byli, powinności i daniny pełnili, sami się nie buntowali i drugich do buntów nie namawiali”.

Stan miasta w końcu wieku XVIII był jednak już opłakany: większość okazalszych budowli popadła w ruinę, wiele domów opustoszało. Taki Szydłów widzimy również na litografii z połowy ubiegłego wieku. A w 1944 roku uległo zniszczeniu wszystko, co jeszcze w dawnym mieście istniało.

Minęło 12 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Stoimy na wzgórzu na zachód od osady, skąd rozpościera się słynna panorama Szydłowa, jednego z najcenniejszych zabytkowych zespołów urbanistycznych Polski centralnej. Oto na przeciwnym wzniesieniu, opadającym stromym urwiskiem, ponad pierścieniem kamiennych murów obronnych, widnieją sylwety znaczniejszych budowli: Ruiny zamku z wyodrębniającym się masywem tzw. „sali rycerskiej”, wysmukły szczyt gotyckiej fary św. Władysława, masyw Bramy Krakowskiej. Na prawo, na niewielkim wzgórzu otoczony murem gotycki kościółek Wszyst-



„Wizja” Szydłowa w roku 1960. Widok od południowego zachodu. Na pierwszym planie kościółek gotycki Wszystkich Świętych, na dalszym stare miasto otoczone murem obronnym z bramą Krakowską pośrodku. Ponad szarpką po lewej stronie zabudowania zamku: Skarbczyk, Sala Rycerska i brama, w głębi synagoga renesansowa. Po prawej stronie figura św. Władysława, obok baszta-dzwonnica, w obwodzie murów wikarówka. Na dalszym planie kościół poszpitalny Św. Ducha.

Rysował Marian Kornecki

kich Świętych. Panoramy zabytkowego miasta, jakby żywcem przeniesionej sprzed stuleci — nie zakłóca prawie żaden obcy element krajobrazu.

Ale widza, który wejdzie w obręb murów spotyka zawód: Wokół rynku i w ulicach sterczą ruiny domów, hałdy gruzu i śmieci. Odnosi się wrażenie, że miasto przeżyło niedawno bombardowanie. Za ledwie tu i ówdzie wznosi jakiś zamieszkały budynek, byle czym i byle jak odbudowany. Króluje prymityw i żenująca improwizacja. W dawnej fosie miejskiej też widoki nielepsze: jakieś budy wzniesione z kamienia pochodzącego z rozbiórki średniowiecznych murów, jakieś nawpół ziemne lepianki, jakieś rozwalające się strzechy i dawno niereperowane gontowe dachy. Pokażą tu także groty skalne, skąd dopiero niedawno wyprowadzili się mieszkańcy. I jakieś śmietniki, na których szperają za pożywieniem prosiaki. I bardzo ubodzy ludzie. Pustka. Cisza. Martwota. Cementarzysko „polskiego Carcassonne”.

WIELKA SZANSA

małego miasteczka

MARIAN KORNECKI

Panorama Szydłowa od zachodu, wg. litografii z połowy XIX w





Ulica dzisiejszego Szydłowa, fot. Marian Kornecki.

Bez hejnałów i werbli wybiła dla Szydłowa godzina nadziei. Było to dnia 25 lutego 1957 r. Ludzie, którym sprawa Szydłowa nie była obojętna opracowali program ożywienia miasta. W wyniku tego, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach podjęło uchwałę „w sprawie odbudowy i aktywizacji Szydłowa oraz wykorzystania walorów zespołu zabytkowego dla celów turystycznych”. Na gęsto zapisanych stronicach tekstu uchwały czytamy między innymi: „Szydłów jest jednym z nielicznych miast w Polsce, w którym najlepiej zachowały się mury obronne i budynki sięgające czasów Kazimierza Wielkiego... Ostatnia wojna doprowadziła je do całkowitej ruiny i martwoty, z której nawet po 13 latach odzyskanej wolności wydobyć się nie mogło... najpilniejszą sprawą dla Szydłowa jest udzielenie pomocy obywatelom w odbudowie zniszczonych domów i wyprowadzenie mieszkańców z grot, piwnic i lepianek...”

W dalszym ciągu uchwała mówi o przyznaniu mieszkańcom długoterminowych kredytów na odbudowę części zniszczonych domów, zobowiązuje wszelkie resorty i władze do zespolenia wysiłku dla odbudowy i zagospodarowania. Droga do ożywienia Szydłowa prowadzi przez poprawę warunków komunikacyjnych, zorganizowanie produkcji i eksploatacji materiałów budowlanych, opracowanie dokumentacji odbudowy na koszt Państwa, założenie szeregu punktów usługowych i zakładów przemysłowych w pionach wszystkich sektorów gospodarczych

Szczególnie wzruszające są postanowienia uchwały, mówiące o „przyznaniu prawa targów w Szydłowie, jeden raz w każdym tygodniu od za-

raz” — przypomina to analogiczne postanowienia aktów lokacyjnych sprzed lat sześciuset... A także postulaty otwarcia zakładu gastronomicznego, uruchomienia zakładu fotograficznego, fryzjerskiego, urzędnia hotelu. Tak, Szydłów był pozbawiony tego wszystkiego...

Nie od razu Szydłów zbudowano... Od chwili podjęcia uchwały upłynęło kilka miesięcy może najtrudniejszych. Nie łatwo przychodzi przepływać jeziora biurokracji i ruszyć z miejsca aparat realizacji nawet najsluszniejszych postulatów. Nie łatwo przychodzi przewyciężenie apatii i nieufności ludności, zainteresowanie obojętnych i znalezienie środków finansowych. Dlatego harmonogram odbudowy Szydłowa jest zagrożony. Tak na przykład dla udzielenia pożyczki bank żądał hipotecznego ustalenia własności nieruchomości — a Szydłów nie posiada ksiąg gruntowych; żądano podpisów gwarancyjnych osób niezainteresowanych pożyczką — a w Szydłowie takich nie ma. Niejeden człowiek powiedział: „Jeżeli Państwu zależy na odbudowie 'mojego domu' — to niech go samo odbuduje”... Zakładając kamieniołom, rozkopano zabytkowy cmentarz żydowski, zresztą nie bez szkody dla krajobrazu. Wreszcie nadeszła jesień, a nie odbudowano wciąż jeszcze żadnego domu.

Ale pierwsze wysiłki przyniosły rezultaty. Już opracowano dokumentację odbudowy dwóch pierzei rynku, uzyskano wiele materiałów. Konserwator pokrył dachem część zrujnowanego zamku. Do Szydłowa naprawiono szosę... W wyobraźni wolno więc snuć marzenie wygrania wielkiej szansy małego miasteczka...

Fot. Marian Kornecki

- 1) Historia Reformationis Polonicae, cytuję za T. Święckim, Opis starożytny Polski, Warszawa 1828.
- 2) Z materiałów historycznych zebranych przez Woj. Urząd Konserwatorski w Kielcach.

Boże Narodzenie — najmilsze ze świąt całego roku. Każdy z nas wyniósł z dzieciństwa pełne uroku wspomnienia długiego cyklu dni nieprzerwanej radości. Zaczynało się od wigilii, dnia w którym wszyscy dorośli mieli ręce pełne roboty. Z kuchni dolatywały smaczkowite wonie ciast, cały dom sprzątano, na ganku stała już wcześniej kupiona choinka, w wannie pływały ryby.

W mieście święta Bożego Narodzenia mają radosny rodzinny charakter, ale zatraciły już swój dawny głęboki sens. Zachował się on jeszcze na wsi. Na Podhalu cykl świąteczny zaczyna się już 13 grudnia; od św. Łucji nadchodzą dni niebezpieczne, po wsi wtedy hulają czarownice zagrażając zwłaszcza bydłu. Dlatego to w dzień św. Łucji okadza się krowy trzykrotnie (Brzegi)*, a nad drzwiami stajni i chlewów smaruje się dziegciem krzyże, broniące wstępu złym mocom (Obidowa). Gazdowie, którym ktoś krowy pozczarował, mają teraz jedną okazję by odkryć czarownicę. W dzień św. Łucji zaczynają strugać małą ławeczkę. Codziennie trzeba coś przy niej podlubać, tak by była gotowa na wigilię. Ukrywając pod cухą zabierają ją z sobą na pasterkę i tam o samej północy trzeba na niej niepostrzeżenie klęknąć. Zobaczy się wówczas która z kobiet jest czarownicą, bo będzie stała tyłem do ołtarza. Aby uniknąć zemsty czarownicy trzeba natychmiast uciec do domu; najlepiej w ucieczce przeskoczyć potok, który stanowi dla niej magiczną zaporę (Brzegi).

Od św. Łucji przez 12 następnych wieczorów trzeba też przynosić do izby po jednej szczapie drzewa. W sam dzień wigilii z drzewa tego roznieca się ogień i na nim gotuje „powązkę” (lnianą szmatkę do cedzenia mleka). Czarownica musi przyjść (bo ją tak parzy jak wrzątek tę powązkę) i błagać by zaprzestano się nad nią znęcać. Wtedy należy ją porządnie wybić, by odrobiła co „zabrała” czyli zaczarowała (Obidowa).

Wreszcie nadchodzi wigilia. Już poprzedniego dnia kobiety wysprzątały białą izbę i napięły ciast, teraz od rana krzątają się koło gospodarstwa. Gazda idzie do pszczoł po miód i do lasu po „podłaznicę”, które przybija w izbie nad drzwiami, nad wejściem do sieni, nad drzwiami stajni i owczarni. Są to gałązki jedliny w kształcie krzyża. „Podłaznicą” nazywają również kulę ze słomek i opłatków, jaką zawieszają się w wigilię u sosenbu (Brzegi, Obidowa). Z pierwszą gwiazdą domownicy wygłodzeni całodziennym postem zasiadają do „obiadu”. Tego dnia je się nie jak zwykle na niskiej ławie, lecz na stole w rogu izby. Rozściela się na nim siano, czasem przysypuje mąką, którą potem należy starannie zebrać i przechować, gdyż sypana na rozżarzone węgle odpędza burzę (Obidowa). Na sianie kładzie się płat białego płótna, na nim chleb konieczny pieczony w domu. Gospodarz ubiera kozuch lub gunię a następnie przynosi z boiska snop niewymłóconego owsa. Przekraczając próg izby mówi: „niek będzie pokwolony Jezus Krystus”, na co domownicy odpowiadają „na wieki amen”. Wtedy zaczyna wieszować: „Winsuje wam na scynście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, żeby my się docekali wszyscy drugiego Bożego Narodzenia we scynście, we zdrowiu, przy dobrym pokoju”; itd. (Brzegi). Powinszowawszy gospodarz umieszcza w rogu izby snop a cała rodzina klęka i głośno odmawia pacierz. Zanim jeszcze zasiądą za stołem, gospodarz wychodzi na próg i głośno zaprasza wilki na posiłek. Podobno dzięki temu przez cały rok nie będą rzucać się na owce (Obidowa). Obiad zaczyna łamanie się opłatkiem maczanym w miodzie poczem zjawiają się na stole misy z potrawami których kolejność i jakość są z góry przewidziane. A więc: 1) Kapusta z grochem 2) „borsc” czyli grzyby suszone gotowane z czosnkiem i mąką na soku z kwaśnej kapusty, 3) „kałuski” czy kluski mączne, 4) ziemniaki, 5) „zur” z suszonych śliwek gotowanych na wodzie i zatrzepanych mąką (Ciche).



MATERIAŁ PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

* Nazwy wsi w nawiasie oznaczają, że dany zwyczaj został w tej właśnie wsi zapisany. Nie znaczy to bynajmniej, że nie jest znany w reszcie Podhala. Materiały do Bożego Narodzenia były zbierane w latach 1951—1953.



Wychodząc ze stacji Końskie mało ciekawą drogą bitą przez miejscowość Stary Młyn i Rosów docieramy na czwartym kilometrze do Młyna Nieświńskiego. Słyszymy tu stukot młotów mechanicznych przekuwających stare obręcze kolejowe na lemiesz. odkładnice i inny sprzęt rolniczy. Są tu pewnie ciekawe urządzenia pracujące nie jeden



Autor — Kierownik Katedry Historii Techniki i Nauk Technicznych A. G. H. w Krakowie. Specjalność: hutnictwo żelaza.

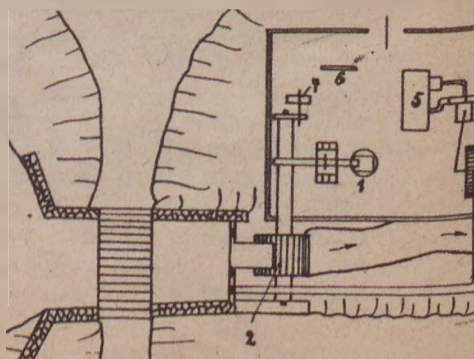
MIECZYŚLAW RADWAN

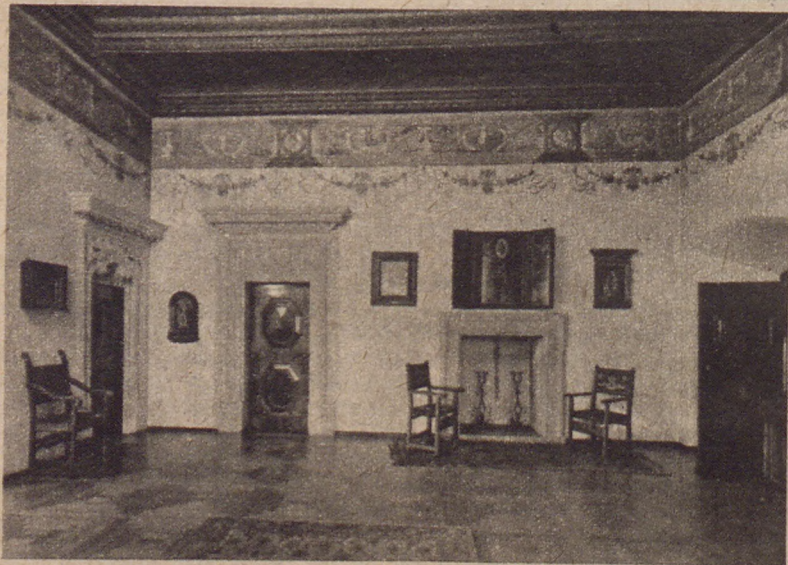
STARA KUŹNICA

Stara Kuźnica. 1. Młot wodny naciskowy. 2. Koło do napędu młota. 3. Miechy skrzynkowe. 4. Koło napędzające miechy. 5. Plec grzewczy. 6. Nożyca ręczna. 7. Toczak.

dziesiątek lat. Ale nie ten zakład jest celem naszej wycieczki. Tu już postęp techniczny zniósł stare formy. Już tylko spiętrzenie rzeki Młynkowskiej świadczy o stosowanej tu innej, daleko starszej technice.

Interesuje nas właśnie ta rzeczka. Lat temu dwieście, a może tylko sto, były tu jeszcze potężne lasy, opisane obrazowo przez Potkańskiego w jego pracy „Puszcza Radomska”. Płynęła ta rzeczka przez okolice bogate w złoża rudy żelaznej. Prawdopodobnie dawno już tę okoliczność wykorzystał kuźnik i założył szereg „kuźni szlachetnego





Przykład „martwego” muzeum. Ekspozycja zorganizowana przez władze niemieckie na Wawelu.

Muzeum „naturalne” — wewnątrz sypialni Zygmunta Starego na Wawelu. Fot. St. Kolowca.

kowców. Więcej — tworzą się prowincjonalne ośrodki kulturalne, promieniujące na okolicę. A cóż Renault? Renault dba o to, aby ośrodki te były odwiedzane i oglądane; drukuje prospekty, ustawia tablice orientacyjne, zakłada stacje samochodowe obsługi, remontuje uszkodzone, sprzedaje nowe samochody. I koszty wracają się z nawiązką. Wzmaga się ruch turystyczny — a więc pojawia się dodatkowa możliwość zarobku w budzenie miejscowej ludności. A co najważniejsze: zabytki są oglądane nie w nikłowo-szklanej gablocie muzealnej, nie w tasemcowych amfiladach muzeów-encyklopedii, lecz w otoczeniu i na tle zbliżonym do pierwotnego. Stwarza to pewną „kameralność”, ułatwia kontakt. Można być pewnym, że nawet najbardziej tępy widz zabierze ze sobą wrażenia naprawdę żywe i harmonijne.

Mechanicznych naśladownictw nie zaleca się — zresztą byłyby niemożliwe w naszych odmiennych warunkach. Pewne jednak wnioski można z owej nauki wyciągnąć.

Mamy w Polsce wiele wyjątkowej wartości obiektów architektury zabytkowej świeckiej i kościelnej, szybko niszczących i rozpadających się z braku inwestora, który zdecydowałby się na ich restaurację i użytkowanie. Są to częstokroć obiekty — jak zamek w Baranowie, Krzyżtopór, czy wiele zamków i pałaców dolnośląskich — o skali europejskiej. A w Europie nikt o nich nie wie — poza specjalistami. A równocześnie magazyny muzeów na szczelbę mniej, lub więcej centralnym — powiększają się. Stawia się skrzynie jedną na drugiej. Szanse wyjścia na światło dzienne dzieł, zalegających magazyny — są niewielkie, nawet przy stosowaniu metody okresowych zmian ekspozycji.

Coś niecoś już się zmienia. Istnieją muzea regionalne, miejskie i diecezjalne. A także muzea w typie Wilanowa, zbliżone do rozwijających się ostatnio we Francji. Będzie „żywe muzeum” w krakowskim Collegium Maius i pojawiła się ze wszechmiar słuszną koncepcja Muzeum Renesansu w świeżo

odrestaurowanym renesansowym zamku w Pieskowej Skale. Koncepcje takie zdają się narastać.

Ale to wszystko jeszcze mało. Potrzebna jest dyskusja nad sprawą likwidacji ambicjonalnych przerosłów, prowadzących do zwykłej grabieży w tzw. „terenach” na rzecz magazynów muzealnych. Powinno obowiązywać zasada, że usunięcie zabytku z jego pierwotnego otoczenia usprawiedliwione być może tylko realną możliwością jego zniszczenia na miejscu pierwotnym, tylko troską o jego uratowanie. Że natomiast powinien on wrócić na swoje miejsce, gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Że w wypadku bezpowrotnego zniszczenia wnętrza, z którego pochodzi obiekt — powinien on być raczej umieszczony w miejscu i otoczeniu zbliżonym do pierwotnego, powinien pełnić funkcję wyznaczoną jego przeznaczeniem — nie zaś marynować się w muzealnym magazynie. Powinno być podjęta dyskusja nad decentralizacją muzeów i ich specjalizacją. Koncepcja olbrzymich, wieloblokowych muzeów typu encyklopedycznego nie zawsze wydaje się najszcześniejszą. Powinno być także podjęta dyskusja nad sprawą rozsądnego powiązania spraw ochrony zabytków, muzealnictwa i turystyki. Bo sprawy te powinny być ze sobą powiązane i to nie tylko w interesie „trzech zainteresowanych stron”, lecz także w interesie ogółu. Potrzebna jest dyskusja nad rozwiązaniami tak pomyślanymi, aby ochrona zabytków architektury przestała być funkcją kwot pompowanych z przeciążonego i tak budżetu państwowego; aby dzieła sztuki w miarę możliwości przestały być mniej lub więcej martwym eksponatem zawieszonym w próżni klinicznej wnętrza, zaś muzea — nie rezygnując z roli ośrodka naukowego — przestały być gigantycznymi straszdyłami mówiącymi tak wiele, że w zgiełku i tłoku zmasowanych dzieł sztuki gubi się głos piękna i historii. I jeszcze jedno: aby „prowincja” przestała być prowincją. Wszystko to się wiąże. A jedną z wielu nici łączących tak pozornie niezwiązane ze sobą sprawy i problemy — jest turystyka.

EKSPONAT I TURYSTYKA

KAZIMIERZ
SAYSSE—TOBICZYK

BŁĘDNE KOŁO POLSKIEGO CAMPINGU

Biwakowanie w polu, pod płachtą furgonu czy namiotu, uprawiane było od niepamiętnych czasów w Ameryce Północnej w czasie wędrowek po niezmiernych puszcach, górach i stepach Nowej Ziemi. Ładowano wówczas na wóz żywność, pościel, broń, siekiery, piły i przez długie tygodnie, czy miesiące, pędzono prymitywny żywot koczowniczy w poszukiwaniu terenów łowieckich, dobrej ziemi pod farmy lub złotodajnych pól. Dalekie te włóczęgi wśród dziewiczej przyrody, choć stanowiły życie pełne trudów, walk i niebezpieczeństw, zaspakajały jednak drzemające od wieków w każdym człowieku instynkty nomadów, głód wrażeń, tęsknotę do wędrowek w nieznaną.

Ten niezłomny impuls i odkrywca żąda przetrwała czasy „wielkiej eksploracji”. Zamieniono tylko furgon na samochód, na canoe, kajak, narty i wibrany, lecz mania włóczęgostwa została ta sama. W dalszym więc ciągu roją się „na szlakach” niezliczone tłumy poszukiwaczy wrażeń, amatorów współzycia z przyrodą, turystów, żeglarczy, kajakowców, odkrywców antarktyd, zdobywców powietrznych przestworzy, głębin morskich, najwyższych gór świata.

Dawny „biwak w polu” zaczęto więc uprawiać dla przyjemności, sportu, mody, czy po prostu powszechnego nawyku. Nazwano go campingiem. Ładuje się jak dawniej podróży bagaż w po-

jazd — tym razem w auto, autobus, samolot, jacht czy też kajak — i wędruje w szeroki świat.

Indywidualny, samodzielny camping, bezpośrednio związany z przyrodą, daje oczywiście bez porównania więcej wrażeń i pożytku, niż jakakolwiek inna forma campingu zbiorowego. Znajduje on dzisiaj licznych zwolenników na całym świecie. Uprawia się go i u nas, w postaci przeważnie wędrowek kajakowych, gdyż aut prywatnych mamy dotąd niewiele.

EWOLUCJE „WSPÓŁZYCIA Z PRZYRODĄ”

Z pierwotnej formy rasowego campingu zaczęły w szybkim czasie wytwarzać się coraz nowe, coraz wygodniejsze i coraz bardziej odległe od ideału współzycia z przyrodą koncepcje letniskowe.

Zrazu, tuż po pierwszej wojnie światowej, powstały w kilku miastach Stanów Zjednoczonych niewielkie przedsiębiorstwa, trudniące się dzierżawą terenów campingowych w różnych zakątkach kraju i wypożyczaniem za drobną opłatą sprzętu i ekwipunku. Wkrótce po tym zaczęto urządzać obozy, zaopatrzone w prymitywne wprawdzie, lecz mile widziane przez wędrownych mieszczuchów obiekty użytkowe, jak składnice konserw, ma-

gazyny koców i placht brezentowych, faktorie towarowe.

Mnożyły się też firmy przewozu i transportu, reklamujące wycieczki campingowe do najpiękniejszych rezerwatów przyrody. Drobnie wytwórnie zamieniały się tychlo w okazale fabryki, produkujące coraz to wymyślniejsze namioty, śpiwory, nadymane poduszki i materace. Rósł jak na drożdżach przemysł campingowy.

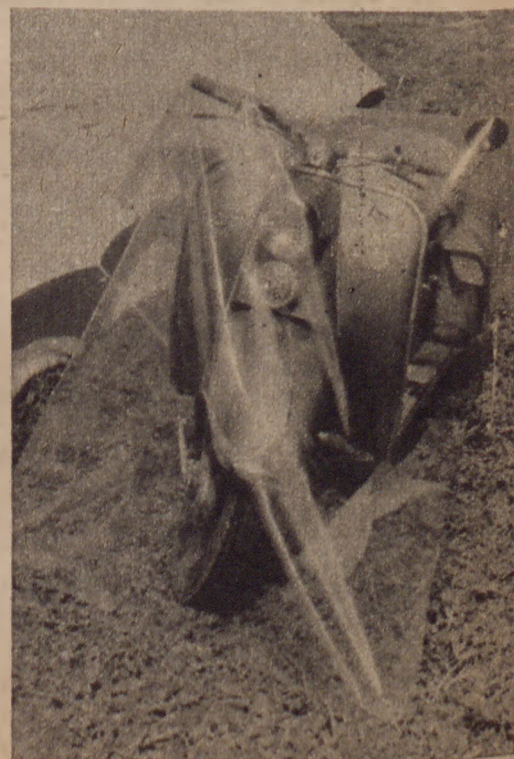
Obozy namiotowe, jako druga faza ewolucji campingu, przetrwały w najróżniejszych odmianach do dzisiejszych czasów. U nas i na szerokim świecie.

ZAWROTNA KARIERA WEEKENDOWYCH DOMKÓW

Dalszy rozwój campingu, po czterdziestu latach eksperymentowania, doprowadził wreszcie do rezultatów zgoła fantastycznych.

Prototypem dzisiejszych ultranowoczesnych, superlüksowych stacji campingowych, obsługujących miliony wędrowców na wszystkich kontynentach, były pierwotnie domki weekendowe. Zwyczaj weekendu, rozpowszechniony z dawną w krajach anglosaskich, polegał na wyjazdach w dni wolne od pracy na letnisko podmiejskie. Zrazu w tym celu budowano solidne, murywane wille, potem piętrowe bungalowy z werandą, a wreszcie małe, niekosztowne domki drewniane w stylu campingowym.

Fot. A. Skoczylas





Fot. K. Jakubowski

Z czasem z tych rodzinnych, weekendowych „home” zaczęły powstawać całe osiedla, wznoszone poważnie na wybrzeżach morskich. Począwszy od Szwecji, gdzie osiedla takie najzupełniej się przyjęły, moda budowy letnisk campingowych w ciągu krótkiego czasu opanowała wszystkie kraje zachodnie. Wystarczy powiedzieć, iż w samej Europie ilość tych letnisk i stacji weekendowych liczona jest na tysiące, a roczna frekwencja przyjezdnych na dziesiątki milionów!

Doszło do tego, że największe nawet koncerty hotelarskie zaczęły się martwić, jak w letnich sezonach zapobiec pustce, którą coraz częściej świecą pokoje w renomowanych Splendidach czy Bristolach.

LUKSUSOWE „LONO NATURY”

Zagraniczne letniska campingowe urządzone są z większym czy mniejszym komfortem. Ale nawet ten mniejszy, drugorzędny komfort, w naszych warunkach uchodziłby za luksus.

Prześcigają się one w pomysłowości i najdalej idącej dbałości o wygląd estetyczny, jakość kuchni, wygodę, higienę, spokój i dobre samopoczucie gości.

Dwułóżkowe domki, o ścianach i dachach z różnego rodzaju płyt ognioodpornych, malohygroskopijnych i nieakustycznych, posiadają wnętrza jasne i powietrzne, z idealnym wyzyskaniem przestrzeni. Są wyposażone w wygodne nowoczesne meble i wszelkie urządzenia przeciętnego hotelowego pokoju dobrej klasy. Bije tu w oczy przede wszystkim czystość — blyszcząca, pedantyczna czystość, panująca wszechwładnie na całym terenie. Ona to głównie nadaje ton i decyduje o poziomie letniska.

Dla zachowania iluzji prymitywu i swoistego stylu współżycia z przyrodą, stawiane są tu i ówdzie nawet w luksusowych letniskach z łazienkami i restauracjami, zwyczajne zbite z desek stoliki i stoliki lub też większe, drewniane koryta z zimną wodą. Kto chce wleć, może myć się lub jadać posiłki campingową modą „sub termine fagi”!

A U NAS?...

Zdawałoby się, że w Polsce w ciągu lat trzynastu można było wystawić choć jedno letnisko campingowe rocznie. Choć takie najskromniejsze na 50 domków, hyle tylko z dojazdem, stacją benzynową, parkingiem i obsługą bieżącą wodą i elektrycznością. Koszt? — nie większy chyba niż jednego domu na Świętokrzyskiej. Mielibyśmy dzisiaj już 13 letnisk w najpiękniejszych miejscowościach kraju.

Dyrektor „Balkantourist” p. Jotow Nicola oznajmił niedawno na zjeździe

Biur Podróży w Pradze, że w Bułgarii w tym roku było czynnych w Warnie i na Złotym Wybrzeżu 14 hoteli o 2100 łóżkach, a już w przyszłym sezonie otwartych będzie dalszych 16 hoteli z półtora tysiącem łóżek i 650 domków campingowych o 1300 łóżkach. Razem więc 2800 łóżek w ciągu roku!

A przecież wydawałoby się, że i u nas nie będzie trudne wystawienie w ciągu paru miesięcy na jakimś uzbrojonym w dojazd i elektryczność terenie letniskowym kilkudziesięciu budek i pawilonu o lekkiej konstrukcji. Stawiało się już u nas całe dzielnice w dwa lata. Budowało wielkie mosty w ciągu kilku miesięcy. Tylko „campingu” nie da się wybudować prędzej niż za trzy lata... Czyżby uzbrajanie zwykłego letniska było tak dalece skomplikowane?

CZY NIE MA WYJSCIA Z „BŁĘDNYCH KÓŁ”?

Awizowano już przyjazd do Polski w przyszłym sezonie dziesiątków tysięcy turystów zagranicznych. Oczywiście — sukces! Ale... gdzie ich pomieścić? W jaki sposób obsłużyć? I co im pokazać?... Problem nie byle jaki.

Poza Warszawą, gdzie już w przyszłym roku będziemy dysponować dostateczną ilością pokoi hotelowych, nie mamy w terenie prawie żadnych pomieszczeń, kwalifikujących się do przeciętnej średniej klasy zagranicznej. Ani dobrych hoteli, ani moteli, ani obsługi, kelnerów, restauracji, przewodników w terenie, stacji benzynowych, ani części zamiennych i dobrej benzyny. Budowa nowoczesnych, wielkich moteli trwałaby długie lata i kosztowałaby setki milionów złotych. A więc tylko — camping!

Wiemy doskonale gdzie trzeba budować i co trzeba pokazać. Tatry, Pieniny, Kraków z campingiem pod miastem, Pieszkowa Skała, Kazimierz Dolny, Bugo-Narew, Puszcza Białowieska, Augustów, Ruciane, Łeba i Międzyzdroje. W pierwszej kolejności Łeba, Ruciane, Augustów i Pieniny. Choćby te cztery, hyle budować zaraz! Jest pół roku czasu. Może chociaż Łebę dałoby się wykończyć na czas przed sezonem?

Koszt budowy letniska nie wyniósłby więcej jak trzy do trzech i pół miliona złotych. Lecz tych pieniędzy na razie nie ma. A choćby i były — jak twierdzą wtajemniczeni — to nie ma ich komu dać. Surowców odpowiednich też nie możemy znaleźć. A już dokumentacja musi trwać minimum... trzy lata. Łebę — powiadają — zaczęliśmy w tym roku. Będzie pewnie gotowa za dwa lata. Ruciane i Międzyzdroje, jako eksperyment, planujemy na rok 1960...

A równocześnie zawiera się pośpiesznie umowy za granicą i ściągają do nas tysiące cudzoziemców na najbliższy sezon. Czy nie lepiej poczekać?

Campingowy namiot „rodzinny” model „la Pergola” paryskiej firmy M. C. B.



Na podstawie materiałów z książki K. Arłamowskiego „Zapamiętania i dążenia gospodarze szlachty czerwonoruskiej w XVII w.” opracował: JAN G. FAL



290 LAT POCZTY W PRZEMYSŁU

„Daremnie wywodzić, jako wiele nie tylko ku pożytkowi prywatnemu comerciorum, gdy się przez pocztę miasto jedno z drugim wcześniej nosić może.” Tak pisali ziemianie przemyscy na sejmiku 1664 r., wskazując na dłuższym memoriale na korzyści płynące z ustanowienia poczty dla spraw trybunału, łączności wojсковej i bezpieczeństwa publicznego. Inicjatywa starań o zaprowadzenie poczty wyszła od mieszczan, którzy przez doradców miejskich na sejmikach potrafili zjednać do tego pomysłu szlachtę.

Sprawa nie była jednak łatwa, wymagała bowiem uchwały sejmowej. Wiedząc jakie przedstawia to trudności w praktyce, brać szlachecka zaleca swym posłom, aby „inire modos ze wszystką poselską izbą, jakoby na kształt poczty chociaż, pieszą co tygodnia kursorowie postanowieni być mogli, to jest w Kamieńcu, we Lwowie, Przemyśle, Krakowie, Lublinie, Warszawie, Piotrkowie, Poznaniu, Grodnie i Wilnie”.

Trzy lata trwały zabiegi. Wreszcie na sejmie w 1667 r. ziemia przemyska otrzymała pozwolenie na zorganizowanie poczty. Na czerwcowym sejmiku wybrano specjalnych deputatów, którzy zajęli się opracowaniem ordynacji pocztowej. W lipcu projekt został zaaprobowany przez sejm.

Dzięki zaprowadzeniu poczty partykularnej (nie mającej nic wspólnego z pocztą królewską) Przemysł otrzymał połączenie piesze z Krakowem, Lublinem, i Lwowem. Wydarzenie to, którego doniosłości niespośród nie docenić, wymaga upamiętnienia. W tym celu świadek tych historycznych chwil odbył krótkie colloquium

z panem Jakubem Solari da Ver-na, prześwietnym wójtem przemyskim, mianowanym in illo tempore, pierwszym pocztarzem. A oto mniemany przebieg indagacji.

— Waszmość jesteście przemyskim pocztarzem. Officium to, tuszę, przynosi pożytek obywatelstwu, ale wam panie wójcie, zapewne niejakie obciążenia?

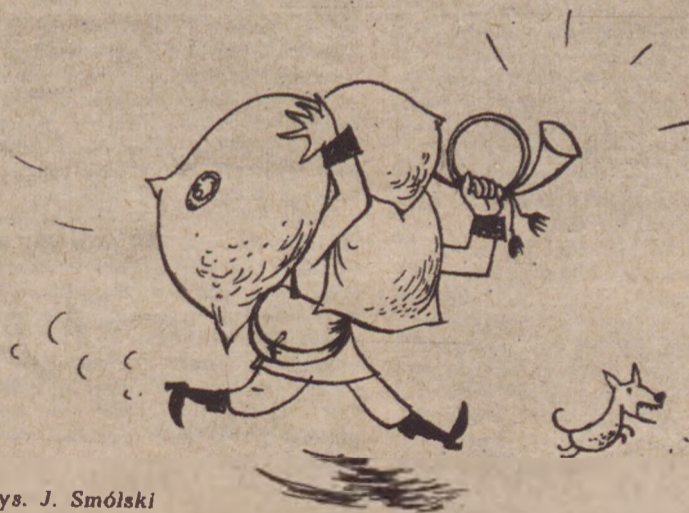
— Słusznie prawicie. Przed objęciem urzędu złożyłem coram publico przysięgę wiernego wypełnienia obowiązków. Zadaniem moim przestrzegać tajemnicy listowej i zważać zali przesyłki podług ordynacji opłacone zostały.

— Na jakowej planicie zasadzają się czynności tutejszej poczty?

— Jest w naszym województwie trzech kursorów; ci każdego czwartku obwieszają trąbieniem po ulicach iż nazajutrz ruszą precz z listami. Kursorowie ci już w środę przybywają z responsem. Jak waszmość miarkujesz, pocztą nasza działa nader sprawnie.

— Jako żywo! Powątpiewać należy, zali za jakie 190 lat obieg listami będzie mógł iść w paragon z waszymi kursorami. A na koniec miły wójcie powiedzcie, co w zamian za swe obowiązki otrzymujecie?

— Wiadomo, że bez dusiów nie masz przyczyny. Ja sam opłatę dostaję z przesyłek pocztowych. Gorzej wiedzie się kursorom. Ci opłacani są skąpo z czopowego przemyskiego kosztem 884 zł rocznie. Pensję dostają w zależności od przebytej drogi. Podam exemplum: kursor w tych stronach zarabia tygodniowo 30 groszy, co jak waćpan wiesz, nie stanowi zbyt wiele. Moja opinia taka, że należałoby aplikacją wnieść o podniesienie im tej mizernej lapy.

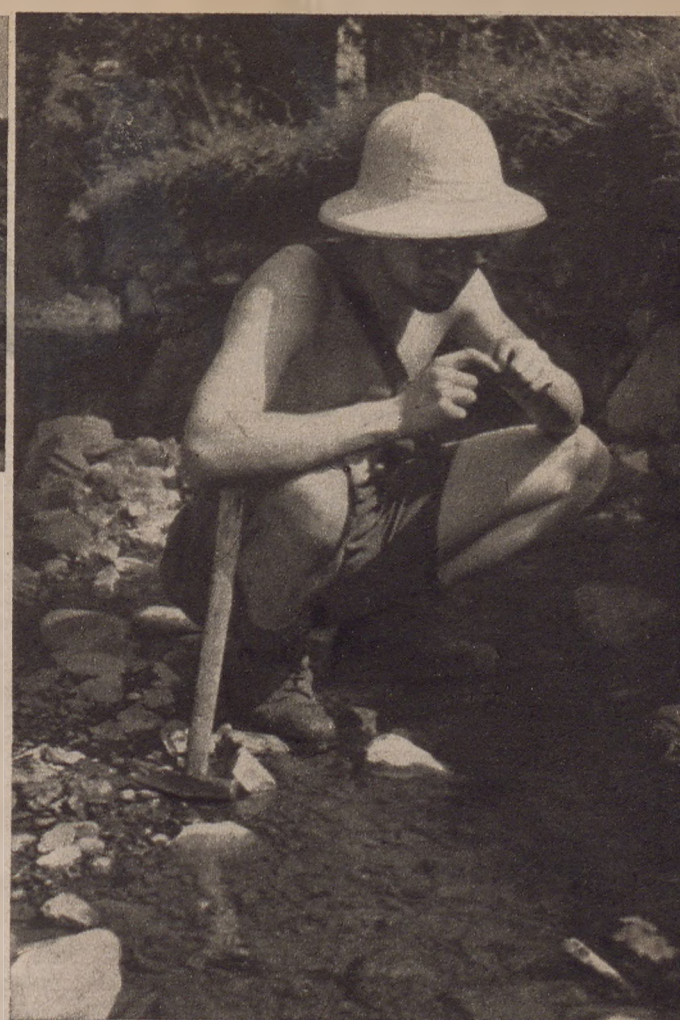


Rys. J. Smólski

BITWA O CHEŁMSKĄ GÓRĘ

Jesienią ub. roku próbowano na Górze Zamkowej w Chełmie Lubelskim zbudować zbiorniki wodociągów miejskich. Równałoby się to zniszczeniu terenu zawierającego olbrzymie ilości materiału archeologicznego z wczesnego średniowiecza. Nie doszło do tego na skutek energicznej akcji tamtejszych kół kulturalnych współpracujących z miejscowym muzeum. W toku sporu okazało się, że jakiś budowniczy zgromadziwszy ludzi i maszyny usiłował

postawić władze konserwatorskie wobec faktu dokonanego. Skandal byłby trochę międzynarodowy, gdyż Góra Chełmska znajduje się w planach państwa polsko-radzieckiej ekspedycji archeologicznej na Grodach Czerwieńskich. Dodać jeszcze trzeba, że w końcu okazało się, iż szybciej i mniejszym kosztem można osiągnąć te same rezultaty odbudowując zniszczoną przez uchodźców Niemców więź ciśnień, zbudowaną w 1937 r.



Sławny kamieniołom ciemnych wapieni, zwanych „marmurami” dębnickimi, koło Krzeszowic pod Krakowem.

KAMIENIE

FOTOGRAFIE
RYSZARD
GRADZIŃSKI

Znajdujemy czasami na wycieczkach okazy skał czy minerałów, które wzbudzają zainteresowanie niezwykłym zabarwieniem, dziwnym kształtem albo wreszcie tym, że zawierają szczątki zwierząt lub roślin. Zdarza się, że z ciekawości takim „kamieniem” wkładamy go do plecaka, by następnie włączyć go do swych prywatnych zbiorów osobliwości, czy też używać potem jako przycisku na biurku. Prawie zawsze jednak zabrany okaz pozostaje w dalszym ciągu anonimowym, bliżej nieokreślonym znaleziskiem.

Niestety, nikt prawie nie próbuje systematycznie gromadzić tego rodzaju zbiorów. Jest to zresztą zrozumiałe, bo nie nie zwraca uwagi przeciętnego turysty na budowę geologiczną przebiegających przez niego obszarów, ani też nie znajduje on zachęty do gromadzenia tego rodzaju kolekcji. Nasze przewodniki krajoznawcze albo zupełnie pomijają geologię opisywanego terenu, albo też podają kilka nadzwyczaj ogólnikowych, a co gorsze, często błędnych informacji. Z drugiej strony brak jest odpowiednich wydawnictw w rodzaju popularnych przewodników geologicznych, a zły stan muzealnictwa geologicznego nie sprzyja rozwijaniu zainteresowań w tym zakresie.

Niewątpliwie jednak kolekcjonowanie minerałów, skał czy też skamieniałości* jest ze wszech miar godnym polecenia, a dostarczać może tyle emocji, co zbieranie znaczków pocztowych czy widokówek. Jest ono najlepszym sposobem poznania budowy geologicznej pewnych obszarów. Tą drogą równocześnie mogą wzbogacać się zbiory szkolne, a muzea geologiczne i zakłady naukowe uzyskiwać cenne czasami i rzadkie okazy.

Gromadzone przez nas zbiory geologiczne mogą być oczywiście rozmaite. Jedne będą kolekcją przypadkowo znajdujących okazów, inne będą miały charakter planowy i uporządkowany. Jest rzeczą zrozumiałą, że wartość tych drugich będzie znacznie większa.

Najważniejszą czynnością przy zbieraniu okazów jest zaopatrywanie ich w kartki z opisami tzw. metryki. Metryka okazu powinna zawierać jak najbardziej dokładne dane, dotyczące okazu: nazwę miejscowości i ewentualnie nazwę powiatu, bliższe określenie miejsca pobrania okazu, np. nazwę kamieniołomu, wozu, określenie zbocza wg stron świata, wysokość nad dnem itp., rodzaj skały i jej bliższe określenie, co można wpisać później, po zebraniu odpowiednich wiadomości, wreszcie datę i nazwisko zbierającego.

Aby uchronić się przed pomieszaniem okazów, dobrze jest nakleić na każdy z nich karteczkę z numerem i tym samym numerem oznaczać metrykę. Oczywiście bierając okazy trzeba je pakować w papier, dołączając złożone w czworo karteczki z metrykami.

Wyszukiwanie okazów do kolekcji nie jest sprawą zupełnie prostą. Na obszarach, które mają skomplikowaną budowę geologiczną i gdzie na powierzchni ziemi ukazują się rozmaite rodzaje skał (w Tatrach, Sudetach, Karpatach, Wyżynie Krakowsko-Wieluńskiej, Górach Świętokrzyskich, na Śląsku i w Lubelskiem) trzeba starać się zawsze odbić próbkę z litej skały. Musimy w tym celu szukać miejsc, gdzie warstwy skalne nie są przykryte glebą i zwietrzeliną. Punkty takie

znajdziemy w podciętych brzegach rzek, często w dnie potoków, na stromych zboczach, w przekopach dróg i torów kolejowych, a wreszcie w kamieniołomach i kopankach cegielni.

Najłatwiej jest odbić potrzebny nam okaz przy pomocy młotka. Można od razu na miejscu nadać próbce odpowiedni kształt, najlepiej zbliżony do kostki. W przypadku braku młotka wylamanie i wyszukanie odpowiedniego okazu będzie znacznie trudniejsze.

Jeżeli kolekcja ma zawierać okazy skał występujących w danej okolicy, nie wolno gromadzić w niej próbek, pochodzących z przydrożnych stert kamieni czy też z nasypów torów kolejowych.

Wszystkich amatorów-kolekcjonerów trzeba przestrzec przed jednym: istnieją odsłonięcia skał, które są uznane za zabytki przyrody nieożywionej i chronione jako rezerwy. Zazwyczaj są to albo skałki (np. Prądko koło Krosna) albo też części kamieniołomów, które obrazują nam w sposób wyjątkowo piękny jakieś procesy geologiczne. Tego rodzaju obiektów nie wolno niszczyć odbijaniem próbek pod żadnym pozorem!

Może się również zdarzyć, że w czasie zbierania okazów natrafimy na wyjątkowo piękny i rzadki okaz. Odnosi się to przede wszystkim do skamieniałości. Naszym obowiązkiem jest wówczas należyte zabezpieczenie takiego okazu i zawiadomienie o jego znalezieniu Muzeum Ziemi w Warszawie albo jednego z uniwersyteckich zakładów geologii. Okaz taki może mieć bowiem dużą wartość naukową.

Najlepszym sposobem przechowywania zbiorów jest układanie ich w pudełkach. Dla większych i bardziej „reprezentacyjnych” kolekcji trzeba zamówić specjalne pudełko z intrologatora (najlepiej formatu 12 x 9 cm i wysokości ok. 2 cm), dla mniejszych wystarczą pudełka kartonowe z opakowań (np. papieru fotograficznego czy papierosów). Na dnie pudełka leży metryka każdego okazu, albo oryginalna, napisana w terenie, albo też wiernie przepisana.

Doskonałym uzupełnieniem zbioru jest schematyczna mapka okolicy z zaznaczonymi na niej punktami pobrania okazów. Pozwala ona nie tylko zorientować się, gdzie jakie skały występują, ale także znakomicie ułatwia bliższe określenie rodzaju skały i jej wieku w przypadku, gdy uda nam się dostać mapę geologiczną tego obszaru, albo też uzyskać pomoc w postaci informacji zawodowego geologa.

Stosunkowo największą wartość naukową mają amatorskie zbiory skamieniałości. Wymagają one jednak już szerszego zasobu wiadomości, a także systematycznej, dłuższej pracy. Zainteresowani nimi znajdują informacje w wydanej przez Muzeum Ziemi w r. 1950 broszurce pt. „Zbieranie i Konserwowanie Skamieniałości”.

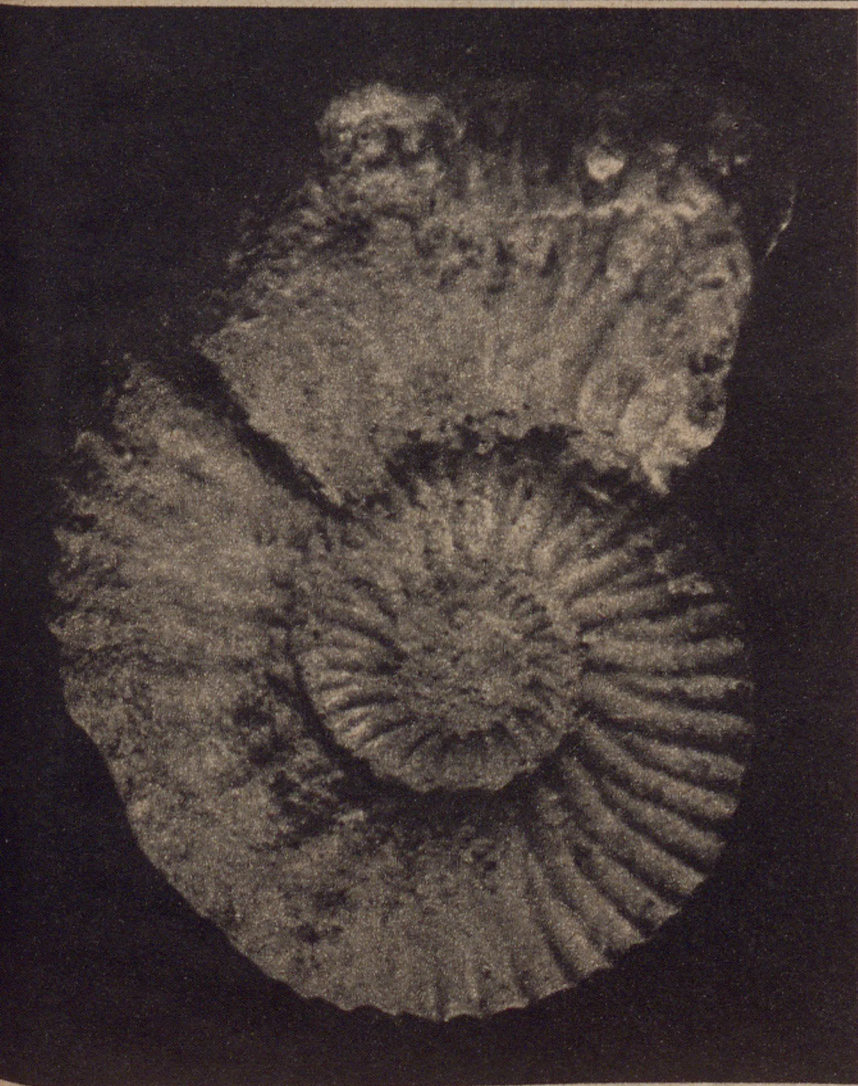
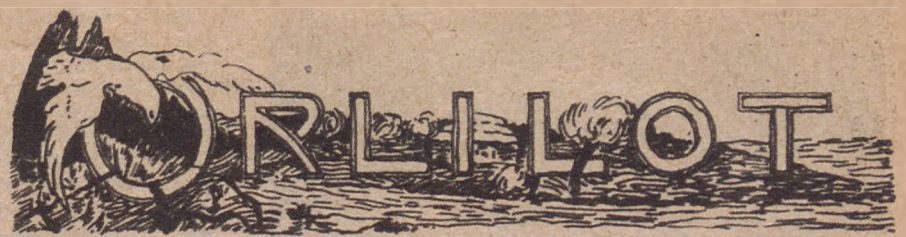
Początki są zawsze trudne. Radzimy jednak zacząć i życzymy powodzenia.



Amatorski zbiór geologiczny

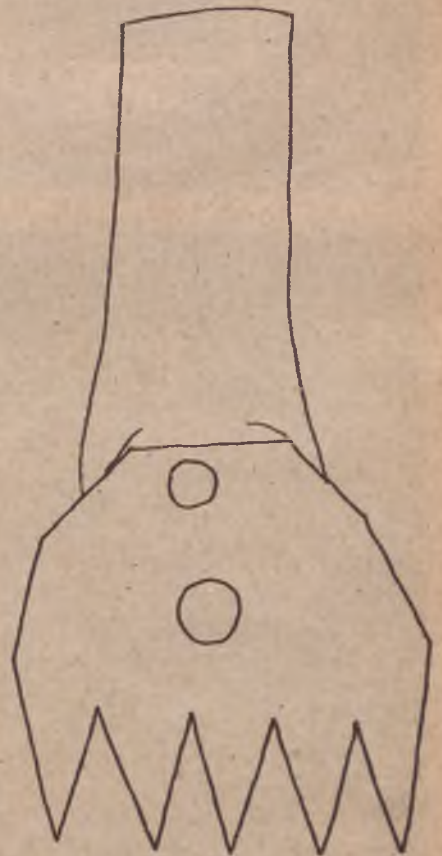
TE NCZYNEK
(Wzgórze Herminice, na Płd od Krzeszowic) 25.10.57
ZLEPIENIEC (Jura brunatna)
R. Gradziński

* zachowane w skałce szczątki zwierząt czy roślin, które żyły w minionych epokach.



Amonit, skamieniałość częsta w wapieniach jurajskich. Fot. J. Małeckich.

PRASTARY SPOSÓB



Jednym z najbardziej rozpowszechnionych narzędzi rybackich na całej kuli ziemskiej jest ość. Narzędzie to znane jest od czasów bardzo dawnych. Geneza ości wiąże się z oszczepami, harpunami. Z terenu Polski znamy ości o różnej ilości zębów. Zazwyczaj zęby zaopatrzone są w zadziory, (podobnie jak harpuny) nie pozwalające na wysliznięcie się grotu z ciała ofiary.

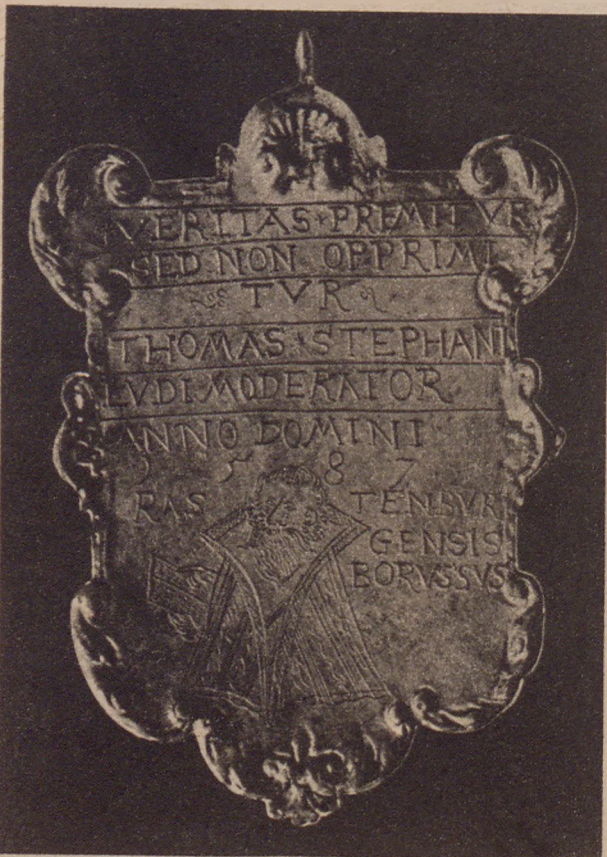
Niedawno Polski Związek Wędkarski ofiarował Muzeum Etnograficznemu w Krakowie 8 sztuk „ostek” (nazwa regionalna) odebranych w r. 1954/55 kłusownikom z nad Raby i Dunajca, wykonanych z blachy i żelaznej rury.

Kłusownicy ci używają ości zarówno do połowu w dzień, czatując cierpliwie nad brzegiem jak również do połowów nocnych przy świetle płonącej pochodni. Ryby zwabione światłem wypływają z głębin prawie że do rąk brodzącego lub płynącego łódką rybaka. W momencie gdy ryba znajdzie się w odpowiedniej odległości łowiący godzi w nią ością osadzoną na drzewcu. Największe spustoszenie czynią kłusownicy wśród łososi w okresie tarła i wśród szczupaków.

W Polsce od kilkadziesiąt lat łowienie ryb przy pomocy ości uważane jest za kłusownictwo i jako takie karane. Mimo dość wysokich kar pieniężnych nakładanych na kłusowników złapanych na „gorącym uczynku” to prastare prymitywne narzędzie używane jest jeszcze w wielu okolicach.

JERZY CZAJKOWSKI





U góry ryngtal pisarza urzędowego z Kętrzyna (rok 1596) Poniżej: ryngtal aktora (rok 1587). Fot. M. Kuraczyk. U dołu: Kętrzyn wg. niemieckiej litografii z XVIII wieku.

Pierwsze wzmianki źródłowe mówią o wsi pruskiej Rast. Zapewne od wsi tej przyjął swą nazwę zbudowany w 1329, staraniem ówczesnego komtura Balgi i wójta Natangii — zamek Rastenbure. Był on otoczony murami i posiadał 3-osobową załogę z dowódcą. W latach 1345-47 Zakon przystąpił do odbudowy zamku zniszczonego przez Litwinów. Obok niego powstają zabudowania rzemieślników i karczmarzy. Samo miasto zaczęło się rozbudowywać w pobliżu na niewielkim wzniesieniu u podnóża którego płynie rzeczka Gubera. Z drugiej strony broniły dostępu bagna. Stare miasto tworzyło rodzaj kwadratu 4,5 ha wielkości, pośrodku którego wybudowano ratusz. Kamieniczki z arkadami w rynku istniały jeszcze, według dokumentów, w XIX wieku. W zachodniej części miasta wybudowano warowny kościół pod wezwaniem św. Jerzego, który następnie uległ przeróbkom, otrzymując późnogotyckie wnętrze i 3 nawy. Dwie wieże kościelne, a zwłaszcza jedna z nich, 48 metrowa, tworzyły zarazem baszty murów miejskich.

Tak usytuowane stare miasto otrzymało 11. XI 1357 roku przywilej lokacyjny, w którym komtur Balgi Jan Schindekop nazwał je „Rastinbure“ — nadając mu 102 włóki ziemi. W herbie miasta umieszczono niedźwiedzia patrzącego w lewą stronę, wśród 7 drzew liściastych, które następnie zamieniono na 3 choinki.

W niespełna sto lat później w 1437 r. stare miasto liczyło 26 1/2 domu a nowe 19 1/2 domu. Były to przeważnie budynki drewniane. Jedynie domy mieszczan — rajców, ludzi bogatych były murowane. Ludność liczyła w tym czasie około 500 osób. Obok rozwijającego się coraz lepiej rzemiosła, przeważna ilość mieszczan trudniła się rolnictwem.

W połowie XVI w. przy kościele św. Jerzego wybudowano kościół polski, który służył ludności polskiej, napływającej coraz liczniej do miasta i powiatu z pobliskiego Mazowsza. W pow. rastenborskim ludność polska osiadła już w XV wieku. Jednakże jej napływ obserwujemy w XVI w. Świadczą o tym polskie nazwiska osadźców (np. Wawrzyniec Polak).

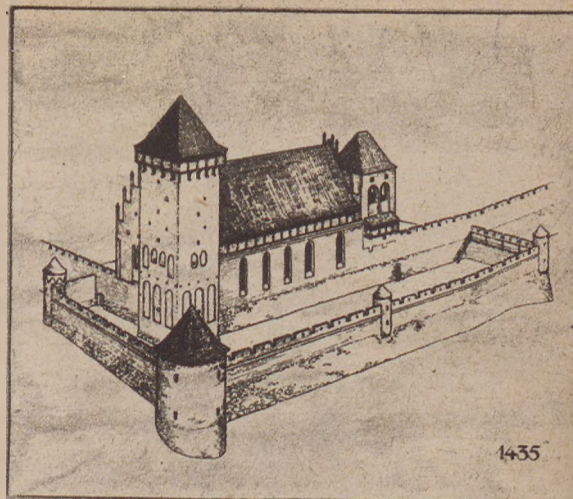
W 1628 r. miasto zajmują na krótko Polacy. Podczas wojny siedmioletniej w Kętrzynie stacjonowali kolejno Rosjanie, Francuzi i Polacy. Ci ostatni przebywali tutaj ponownie w latach 1807—1812.

CECHY RZEMIEŚLNICZE

Wśród rzemieślników występują najliczniej szewcy, kowale, krawcy, piekarze, rzeźnicy i tkacze. Z najstarszych cechów wymienić należy piwowarów.

W początkach XVIII w. a prawdopodobnie już wcześniej byli rzemieślnicy zrzeszeni w 10 cechach. Starsi siedmiu najstarszych cechów należeli do gminy miejskiej i brali udział w rządzeniu miastem. W cechach nie wolno było przyjmować większej liczby czeladników ani ulepszać metod produkcji, określonych specjalnymi przepisami. Każdy z cechów posiadał swoje własne znaki, chorągwie cechowe, a w razie niebezpieczeństwa bronił poszczególnych odcinków murów miasta.

Natomiast znaczna część ludności miasta trudniła się rolnictwem. Wśród mieszkańców miasta zauważyć można już w XVI w. Polaków z Mazowsza. Mówią o tym nadania, jakie otrzymują oni na ziemi tego regionu. Poważna ilość z nich na skutek wzrastającego wyzysku (przedstawiania się folwarków na produkcję zbożową) chroni się do miasta, które ich broni przed panem feudalnym. Stąd też nawet przedmieście



Kościół św. Jerzego w Kętrzynie

nosi nazwę „wolnych“. Przez długie wieki Kętrzyn (Rastenbork) by niewielkim miasteczkiem. W XVI w. liczył zaledwie 500 mieszkańców. Jeszcze w XVIII w. liczba mieszkańców wahała się w granicach 3500—3800 osób w mieście i na przedmieściach, z czego połowa jak wskazywał niemiecki kronikarz przypadała na ludność polskiej narodowości. Ta ostatnia trudniła się przeważnie rolnictwem, tkactwem, kowalstwem.

RASTENBORK PO ROZBIORACH.

W okresie porozbiorowym elektorowie brandenburscy a od 1701 r. królowie w Prusach zwrócili baczniejszą uwagę na akcję kolonizacyjną. Powodem jej była epidemia cholery, która nawiedziła Prusy w początkach XVIII w. W roku następnym po epidemii, wskutek nieurodzaju wybuchł olbrzymi głód, który spowodował razem z poprzednią klęską wymarcie tysięcy ludzi. Wśród nich znalazło się również wiele tysięcy Polaków rozsiadanych na terenie południowych Mazur, jak również i w powiecie kętrzyńskim. Część osadników a zwłaszcza rzemieślników francuskich, szwajcarskich skierowano do miast, gdzie ulegli germanizacji. Procesowi germanizacji zaczyna również ulegać ludność polska miasta i powiatu rastenborskiego. W 1825 r. powiat posiadał zaledwie 8,8% ludności polskiej. Obok ludności chłopskiej zgermanizowała się również i szlachta pochodzenia polskiego, która służyła od tej pory królowi i rządowi w wojsku i na urzędach. Zmieniała swoje nazwiska na niemieckie. Język polski rugowano ze szkół Kętrzyna w latach trzydziestych ub. stulecia a naukę w języku polskim w latach sześćdziesiątych. Procesowi germanizacji uległ również Adalbert Winkler — Kętrzyński, który tutaj w latach 1855—59 uczęszczał do gimnazjum Na uniwersytecie królewskim dowiedział się Kętrzyński o swoim polskim pochodzeniu i odtąd piórem, w rozprawach historycznych dowodzić będzie polskości ziemi w armijsko-mazurskiej.

Na skutek działań wojennych w latach 1939/45 miasto uległo w 50 procentach zniszczeniu. W niedalekich lasach sterczą jeszcze ruiny kwatery Hitlera. Dziś wskrzesza się do życia dawne bogactwo tej ziemi. Rastenbork na cześć Wojciecha Kętrzyńskiego, wielkiego syna tej ziemi, wychowanek tamtejszego gimnazjum, został przemianowany na Kętrzyn.

ZYGMUNT
LIETZ

600 LAT KĘTRZYNA



Albania? To prawdziwe muzeum. Znaleźć tu można ślady ludów, kultur, religii i obyczajów całego basenu śródziemnomorskiego. Zwiedziwszy mały kraj mamy uczucie jakbyśmy przejechali wiele państw. Co więcej, jakbyśmy odbyli podróż w czasie, do epok o których u nas już dawno zapomniano. Znajdujemy tu Wschód muzułmański, ruiny rzymskie, piękne Greczynki, koczowniczych pasterzy, bizantyńskie kościoły, jednym słowem trochę Azji, trochę Bałkanów, trochę południowych wybrzeży włoskich, trochę centralnej Europy sprzed półwiecza i trochę współczesności, bardzo jeszcze młodej.

PRZEZ KRAJ SZKIPETARÓW

KRAJOZNAWSTWO
ZA GRANICĄ

Zanim rozpoczniemy podróż po Albanii zajrzyjmy do encyklopedii, pomoże nam to zrozumieć mozaikę kulturową tego kraju. Albania leży nad Adriatykiem i Morzem Jońskim. Długość południkowa kraju wynosi ok. 340 km, szerokość od 75 do 150 km. Wybrzeże morskie liczy ok. 400 km długości. 75% kraju to góry, najwyższe w Albanii północnej, na granicy Jugosławii dochodzą do ok. 2700 m. Zima trwa tu zaledwie dwa miesiące, jest wtedy chłodno i padają obfite deszcze. Wiosną wszystko pokrywa się zielenią, lecz już w maju zaczynają się letnie upały, które wypijają wilgoć z gleby zamieniając cały kraj, za wyjątkiem częściowo sztucznie nawadnianych dolin, w płową pustynię. Nazwa kraju po albańsku brzmi Shquiperia, jego mieszkańcy to Szkipetarowie. Mówią językiem iliryjskim (jeden z jęz. indoeuropejskich). Ludność całego kraju liczy ok. półtora miliona, przy czym $\frac{3}{4}$ to muzułmanie, $\frac{1}{4}$ prawosławni (na południu) i katolicy (na północy). Dzieje Albanii wiążą się z historią wielu narodów i państw, które i politycznie i kulturalnie ekspandowały na jej tereny ale na początku, w starożytności, byli tu Ilirowie. Po wcieleniu Grecji do Imperium Rzymskiego przez jakiś czas cała Albania łączy się pod jednym władaniem. Po upadku Rzymu Albanie dziedziczy Bizancjum i dzierży ją do końca XII w. Wreszcie z końcem XIV w. całą Albanie zajmują Turcy, którzy po okresie 25-letnich walk wyzwolenieczych Skanderbega w drugiej poł. XV w. ostatecznie utrwalają tu swoją władzę. Okupacja turecka trwa do pocz. XX w., a więc pięć wieków z okładem. Stąd wpływy tureckie widoczne są wszędzie, w religii, obyczajowości, stroju, budownictwie. Po raz pierwszy w swych dziejach Albania jako samodzielne państwo powstaje w r. 1912. Od grudnia 1944 roku Albania stała się jedną z demokracji ludowych.





Szałasy arumuńskich pasterzy na tle spalonych suszą zbcocy. Fot. Jerzy Lewczyński.

TIRANA

Opis kraju, nawet jeśli to będzie chaotycznie podana garść impresji, wypada rozpocząć od stolicy. Przyjdzie to tym łatwiej, że Tirana jest pierwszym kawałkiem Albanii, jaki oglądamy po opuszczeniu samolotu.

Centrum to szeroka i długa ulica rozszerzająca się w piękny plac im. Skanderbega. Wokół niego ministerstwa i inne gmachy publiczne, dalej już tylko kamieniczki mieszkalne.

Albańczycy dumni są ze swej europejskiej centralnej ulicy, ale my turyści wjemy z czymś bardziej egzotycznym. Na placu Skanderbega czoconym europejskimi budowlami — tylko jeden kąt wygląda intrygująco. Zamyka go wysoki po pierwsze piętro parkan pomalowany lakierem i ucharakteryzowany na mury obronne. W pewnym miejscu wąska łukowata brama. Zaciekawie ni wchodzimy i w jednej chwili zostajemy przeniesieni na turecki Wschód XIX-go wieku. Jesteśmy w dzielnicy handlowej. Po obu stronach uliczek sklep przy sklepie, warsztat przy warszacie. Towar wykonuje się tu na oczach klienta i zamiast szyldu wywiesza lub wyklada na ulicę. Każda uliczka ma swoją specjalność. Jest ulica wytwórców fezów, stolarzy, którzy produkują jaskrawe kwieciste skrzynie i równie kolorowe kołyski. Uliczka wytwórców kołder jest chyba najbarwniejsza. Są one zahafowane w wielkie kwiaty. Jedne wiszą na drążku przed sklepem, inne leżą wprost na chodniku. Są uliczki sklepów z dywanami i kilimami, uliczki złotników wyrabiających srebrne i złote filigrany — specjalność rozpowszechniona w całej Albanii. Na chodnikach, na kozich skórach rozsiedli się biedniejsi rzemieślnicy i sprzedawcy. Przebierając ziarnka różańca czekają na klientów, przed nimi na bruku cały ich ubożuchny kramik.

Wydostajemy się wreszcie na szeroką ulicę. Środkiem drepczą osiołki obciążone wiązkami drzewa i workami drzewnego węgla dla kuzni. Po bokach znów jednolity sznur warsztatów, kowali i wytwórców siodeł na osły. Mali chłopcy dmą w miechy, a czarni od sadzy mężczyźni wykuwają z miedzianej blachy dzbany na wodę i nieskończone ilości czegoś, co przypomina nasze patelnie bez uch a w czym wypieka się tutejsze plackowate koliste chleby.

W obie strony odchodzą boczne uliczki, wąskie, krzywe, kręte, zamknięte ślepyimi ścianami białych murów, ponad które kipi bujna zieloność ukrytych ogródków.

Spoza jednego muru dolatuje wschodnia muzyka. Melodię prowadzą flety przy akompaniamencie bębenków. Przez uchyloną bramę zaglądamy nieśmiało, ale gospodarze gościnnie zapraszają do wnętrza. W cieniu figowca na macie rozścielonej na murawie zasiadła żeńska kapela cygańska. Grupa starszych kobiet i dziewczynek siedzi na krzesłach przypatrując się kolistemu korowodowi młodych tańczących kobiet. Mężczyźni uczują w domu. Wieczorem nadejdzie kapela męska i bawić się będą sami mężczyźni. Czę-

gając na plecach zakupy. Częsty obrazek, który tu nikogo nie dziwi.

Albania dotąd jest krajem ściśle patriarchalnym. Rządzi ojciec rodziny, po nim władzę i majątek dziedziczy najstarszy syn, którego obowiązkiem jest przedłużyć ród. Kobieta w rodzinie gra podrzędną rolę, choć na jej barkach spoczywa cała praca. Jej celem i ambicją jest dać rodowi wielu synów i dobrze prowadzić domowe gospodarstwo. Ale są wyjątki w tej regule. Istnieje instytucja, tzw. „virgin”, dziewcząt z rodziny mającej, gdzie nie ma syna. Jeśli córka takiej rodziny wyjdzie za mąż, majątek, którego jest jedyną dziedziczką, przypadnie jej mężowi a potem najstarszemu synowi, a więc innemu rodowi. W ten sposób zuboży własny ród. Taka dziewczyna dobrowolnie rezygnuje z zamążpójścia i staje się niejako umownym synem rodziny. Może chodzić w męskim ubiorze, spełniać męskie prace, reprezentować ród jak mężczyzna, nawet brać udział w krwawej zemście. Po jej śmierci dziedziczy najbliższy męski krewny współrodzimec, a stąd majątek jest dla rodu uratowany.

KU MORZU

Cieżarówka wspina się mozolnie drogą, upał nieprawdopodobny. Teraz już zupełnie bezludzie, trochę sosen i krzącające nad naszymi głowami jastrzębie. Wreszcie osiągamy przełęcz. I nagle pod nami tysiącmetrowa stromizna płowego stoku a w dole Morze Jońskie o barwach — nie warto nawet silić się na opis tego widoku: nie oddadzą go słowa, nie odda fotografia, trzeba go zobaczyć.

Od tej chwili trzymamy się już morza, choć raz po raz droga dzwiga się w góry, zapada w doliny i wąskie zatoczki jak stworzone na przystanie dla łodzi pirackich.

Na wypalonych słońcem zboczach jedna, druga, trzecia kolonia słomianych uli? Teraz ule wyrastają blisko drogi i można je bez trudu oglądać. Oto jeszcze jeden lud, jeszcze jedno curiosum tego mozaikowego kraju. Ule okazują się obozowiskami koczowniczego szczepu Arumunów, którzy do Albanii przywędrowali z wschodnich Bałkanów. Jak przed wiekami wędrują ze stadami owiec i kóz. Nie mają własnej ziemi, lecz całe góry do nich należą; nie mają stałych osad, bo przenosić się muszą z miejsca na miejsce w poszukiwaniu paszy dla swoich stad. Zimą i wiosną, kiedy góry albańskie porasta trawa, spędzają na wyniosłych graniach. Potem słońce spopieli wszystko, schodzą więc na lato i jeśli w doliny. Ich obszerne kopulaste szalasy z gałęzi pokrywa strzechy z traw, wewnątrz czysto wylepione złotawą gliną, sam szczyt kopuły uwędzony na machoń. Poza Cyganami ostatni to koczowniczy, a raczej koczowniczo-pasterski lud w Europie, przeżytek kultur sprzed wielu tysięcy lat.

GJIROCASTRA

Nie tylko wiejskie osady, ale nawet miasta górskie mają obronny charakter. Nie ma tu murów miejskich strzegących całości, bo przecież każda rodzina w mieście mogła być wroga zważoną potęgą. Nie tyle należało chronić się przed nieprzyjacielem z zewnątrz ile nieraz przed najbliższym sąsiadem.

Stąd Gjirocastra (po grecku Argyrokastron) jest zespołem domów-twierdz oddzielnie stojących i otoczonych potężnymi murami. Są to kilkupiętrowe kamienice, gdzie mieszkania znajdują się dopiero na wysokości drugiego piętra. Niżej tylko ślepe mury, czasem podziurawione strzelnicami.

Miasto rozsiadło się na stromym stoku górskim. Głębokie skaliste jary dzielą je na kilka dzielnic. Tylko jedna ulica jest na tyle szeroka i na tyle mało stroma, że mogą przejechać nią auta (furmanek nie ma tu zupełnie). Reszta to wąskie, strome drożyny górskie wybrukowane okrągłakami tak układanymi, że co któryś tam rząd wysunięty jest ku górze. Ten rodzaj szczebli w drabinie ulicy ułatwia wspinanie się ludziom i osłom. Przy brukowanej ulicy z takiego samego szarego kamienia wysokie ślepe mury, a w nich z ciósów budowane przepiękne łuki bram wiodących do wnętrza ogródka. Tu dopiero stoi dom — wysoka wieża, znów z szarego kamienia. Tylko najwyższe, zamieszkałe piętro jest tynkowane. Dach prawie płaski, zamiast dachówki nakrywa nierówna łuska szarych płyt kamiennych. Z daleka kamienne miasto zupełnie stapia się z kamiennym stokiem.

BUTRINTI

Położone nad przesmykiem wodnym łączącym morze z wielkim jeziorem, to na niewielkiej przestrzeni wyłożona cała historia Albanii. Zaczyna się od greckich resztek, ponad którymi wznosi się doskonale zachowany amfiteatr rzymski, ruiny świątyni i domów mieszkalnych. Obok bizantyjskie baptysterium z mozaikową posadzką, a powyżej na bizantyjskich murach Wenecjanie zbudowali pałac. Zostały z niego obronne mury, lwy kute nad bramą, studnia zdobna w fresk z błękitnymi pawiami. W obrębie weneckiego zamku Włosi, którzy przez wiele lat prowadzili tu wykopaliska archeologiczne, zbudowali wille-pałac przeznaczoną na muzeum Butrinti. Jeśli dodamy do tego fortyfikacje tureckie w przystani i wieżę obronną wzniesioną podobno przez Ali Paszę Tepelene, będziemy mieć pełny obraz dziejów tego kraju.

A N N A K O W A L S K A L E W I C K A

Vlora, ulica w nowszej części miasta. Fot. A. Szymanluk.



W GÓRACH

Jedziemy do Krui dnem szerokiej niziny. Gdzieśgdzie wśród pól widnieje dom z plecionymi z chrustu cylindrycznymi spichrzami. Dojeżdżamy wreszcie do osady. Kilka kramów, gdzie jaskrawymi barwami pyszną się stopy owoców. Złociste kule melonów, zielonym marmurkiem pokryte arbuzy, różowe brzoskwinie, granatowe figi i winogrona. Istny róg obfitości barw i kształtów. Obok drogi w błotnistym bajorze drzemią bawoły. Z nad gęstej szlamowanej mazi wystają tylko przęgi ich grzbietów i wielkie łby uwieńczone potężnymi rogami.

Potem wyjeżdżamy w góry. Białe kamień, ziemia w kolorze ochry i włochate liście jakiegoś niskiego krzewu o barwie zakurzonej zieleni. Mimo pustynnego charakteru wzgórz życie zaczyna się dopiero tutaj. Mijają nas coraz liczniejsi podróżni. Mężczyźni w szarawarach i szerokich sukiennych pasach, kobiety w spodniach jeszcze szerszych niż męskie idą ciężkim niezgrabnym krokiem stawiając nogi daleko od siebie inaczey nie pomieściłyby wielu metrów materiału płatającego się im między kolanami. Ktoś kto wymyślił ten strój chciał chyba ukryć najdokładnie naturalne kształty ciała i odebrać kobiecie cały jej wdzięk.

Coraz więcej oliwkowych gajów. Oliwka kształtem i srebrnozielonym liściem przypomina bardzo nasze wierzyby przydrożne. Im starsza, tym pień bardziej powyginany, pogruźlonny, pełen wnęk, narośli. Urok gajów oliwnych nie da się porównać z niczym znanym w Polsce. Trudno powiedzieć na czym polega — może na koncercie brzęczących monotennie cykad, na słonecznym żarze, na specyficznym aromacie? A może właśnie na wszystkim tym razem stopionym w jeden nastrój.

Wreszcie Kruja. Miasteczko przy-czepione do stoków wzgórz pnie się wąskimi, stromymi uliczkami aż na grań z ruinami wielkiego tureckiego zamczyska. Urzekający widok z tej wysokości na morze gór u naszych stóp i na łańcuchy górskie wznoszące się ponad Krują od północnego wschodu.

VLORA

Miasto na równinie nadmorskiej. Po południu przybrzeżną drogą opuszczają je chłopci wracający z targu. Przodem na osiołku jedzie mężczyzna, z tyłu żona drepta pieszo dźwi-

MALOWIDŁA INDIAN

Jest to malarstwo imaginacyjne, symboliczne, dwuwymiarowe. Styl jego waha się od naturalizmu do abstrakcji. Tematyka — od archaicznej symboliki religijnej do scen z życia codziennego, od stylizowanych krajobrazów do scen z polowania. Najbardziej charakterystyczną zaś cechą tej twórczości artystycznej jest ciągle poszukiwanie.

Obok: Pożar Prerii, malował Czarny Niedźwiedź z ludu Kiora-Komańczów. Poniżej: Myśliwy, malował Ma-Pe-Wi, Indianin Pueblo-Zia.



Indiańskie malarstwo południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych to sztuka o starych tradycjach. Uprawiano je tu od wielu pokoleń, zanim jeszcze pierwsi konkwistadorzy sforsowali Rio Grande. Pierwotny artysta indiański rył swe obrazy na skałach lub kawałkach kości; malował je na skórkach, drewnie, ceramice, tkaninach lub wreszcie na ścianach glinianych domostw. Pstre rysunki pokrywające odzież i broń wojowniczych łowców bizona sławiły ich dzielność lub strzegły przed nieszczęściem. Symboliczne obrazy mieszkańców warownych wsi „pueblo” i ich nawajskich sąsiadów przywoływały duchy przodków lub były jednym wielkim błaganiem o wodę — skarb najcenniejszy w tym dręczonym posuchą kraju.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia w plastyce Indian Południowo-Zachodniej Krainy pojawia się nowy kierunek. Dotychczas bowiem artysta indiański twórczość swą przede wszystkim podporządkowywał tradycyjnym celom magiczno-kulturowym wiążąc ją z obrzędowymi praktykami wsi lub szczepu. Teraz natomiast zaczął tworzyć dzieła indywidualne, oparte wyłącznie na własnych przeżyciach. I co najważniejsze — tworzył przede wszystkim „dla siebie”. Ten nowy prąd zapoczątkowali koczowniczy

Indianie prerii, którzy pierwsi na tych terenach starli się z nowoczesną cywilizacją amerykańską. Czerwonoskóry wojownik stykając się nagłe z szeregiem tak niezwykłych dlań zjawisk jak kolej żelazna, nowoczesna broń palna czy telefon, a ponadto żyjący w atmosferze ciągłej wojny z nadciągającym białym nieprzyjacielem stara się to bogactwo nowych wrażeń przełożyć na papier. Nie umie pisać, więc próbuje przynajmniej narysować to co widział i przeżył. Często krótko twórczość artystyczna jest dla niego pociechą w nieszczęściu i formą psychicznego odprężenia. Ale nowa epoka wywarła również wpływ i na sąsiadów Indian prerii — na spokojne, osiadłe szcypy z wioski Pueblo. I tu młodzież zaczyna malować po swojemu dla siebie.

Ten nowy styl malarstwa indiańskiego, mimo iż niejednokrotnie zaskakiwał i budził zachwyt amerykańskich przybyszów, przez długie lata nie był w ogóle znany poza granicami regionu, w którym powstał. A i tu nie cieszył się bynajmniej oficjalną aprobatą. Potępiła go tradycjonalistyczna starszyzna szcypowa. Co ciekawsze, „jakkolwiek trudno w to uwierzyć” — jak pisze Dorothy Dunn w jednym z numerów THE NATIONAL GEOGRAPHIC MAGAZINE —

jeszcze 25 lat temu Amerykańskie Biuro do Spraw Indiańskich zabraniało uprawiania tego rodzaju malarstwa w tubylczych szkołach. Na szczęście w porę uratowano tę gałąź twórczości. W 1932 r. rząd federalny otwiera dla Indian pierwszą szkołę malarstwa w Santa Fe. Garną się do niej uczniowie z całego Zachodu, a nawet spośród tzw. leśnych szcypów indiańskich południowo-wschodnich Stanów. Dziś takich centrów artystycznych jest już w St. Zjednoczonych cały szereg. Szkoły te bynajmniej nie starają się narzucać swym uczniom jakiegoś sztywnego szablonu formalnego lub tematycznego. Pomagają im tylko w opanowaniu i doskonaleniu techniki artystycznej. Obecnie w USA żyje około 40 indiańskich artystów-malarzy trudniących się swą sztuką zawodowo. Jedni poświęcili się malarstwu sztalugowemu, inni reaktują dawne gałęzie rodzimej sztuki stosowanej, jak np. wyrób ceramiki artystycznej w San Ildefonso. Są wreszcie i tacy, którzy malowidłami swymi dekorują ściany budynków. Indiancy malarze dekorowali np. fragment wnętrza na wielkim transoceanicznym statku pasażerskim „United States”. Co roku indiańskie malowidła wystawia się w krajowych galeriach obrazów. (L Z)



Ludzie Niebios, malował Calvin Larvine z plemienia Siuksów, Indian prerii. Symbolizuje wystęchanie modlitwy i pomyślnie łowy. Błyskawice uosabiają odpowiedź bóstw.



ZIMOWE ŻNIWA

1/5 fińskich towarów eksportowych stanowi drewno. Ogromne, pozabawione dróg obszary leśne tego kraju ożywiają się jedynie zimą. Wtedy bowiem po grubej powłoce śniegowej docierają w głąb puszczy ciężarówki i traktory, przecierając szlaki do przewozu drewna. Na te zimowe żniwa ściąga do leśnych obozowisk setki drwali, aby spędzić w nich szereg miesięcy. Podobnie jak za dawnych dni, większość robotników, używa starożytnych pil i siekier, choć tu i ówdzie pojawiają się już i piły mechaniczne. Pomimo mechanizacji transportu koń nie przestał być nieocenionym pomocnikiem drwala, dowożąc ciężkie pnie do utartych szlaków. Główne pożywienie w obozowiskach stanowi tłusta wiciprowina odrabiana po kawałku siekierą z zamrożonych bloków. (ap)

•SŁONIE

Cena słonia zależy od kraju, w którym go chcemy kupić. We Wschodnim Pakistanie, gdzie co roku w czasie wielkich łowów w pobliżu granicy burmańskiej

chwytają się około 60 słoni, cena dorosłego samca waha się od 800 do 1400 dolarów. Łowy odbywają się zimą, kiedy w doliny schodzą dzikie słonie w poszukiwaniu kłaczów młodego bambusa i bananów. Zwierzęta te wędrują stadami liczącymi od 10 do 15 sztuk. Słoń to niezastąpione do prac w tropikalnej dżungli zwierzę pociągowe. Obdarzony nie tylko znaczną siłą lecz również i umiejętnością poruszania się w leśnych gąszczach i dziś jeszcze góruje on w dżungli nad najnowocześniejszymi nawet typami traktorów. (dz)

PODRĘCZNIK

W roku 1955 w szkołach Niemieckiej Republiki Demokratycznej zniszczono naukę biologii, historii i geografii w pierwszych 4 klasach szkoły podstawowej. Zamiast tych trzech przedmiotów wprowadzono jeden — krajoznawstwo. Pociągnięto to za sobą konieczność wydania nowych podręczników. Program nauczania przewidywał odrębne materiały dla poszczególnych regionów, aby nauka dostosowana była do bregu zainteresowania dziecięcych umysłów. Pierwszy podręcznik opracowało nauczycielstwo powiatu Nordhausen w górach Harcu. Wprowadzono go

już do nauczania w roku szkolnym 1957/58. Dużo uwagi poświęcono podaniom ludowym, a historię budownictwa socjalizmu przedstawiono ze specjalną ostrożnością, aby — jak podaje „Nordhäuser Roland” — uniknąć „Schwarz-Weis-Malerei” (odpowiednik naszej „dretwej mowy”) i nie wpoić młodzieży mniemania że „wszystko już w tej dziedzinie zostało dokonane”. (p)

TAJEMNICE ŻYCIA

— oto tytuł nowego filmu przyrodniczego nakręconego przez Walta Disneya (tak, tego samego Disneya, który nakręcił ongiś „Trzy świnki” i „Królową Śniczki”). Tematem filmu jest wieczna zmienność, jaką możemy zaobserwować w przyrodzie. Film ukazuje nam ją w przeróżnych kształtach: chmur, niszczących działaniu morskich fal i ruchów tektonicznych skorupy ziemskiej, w barwnym świecie podwodnych roślin i zwierząt, a wreszcie na przykładach życia owadów. „Tajemnice życia” spotkały się z dość ostrą krytyką na łamach amerykańskiego miesięcznika przyrodniczego „Natural History”, gdzie wytknięto realizatorom popelnienie szeregu błędów rzeczowych.

WĘDROWNE TEATRY

We wsi Aveton Gifford (hrabstwo Devonshire) wisi na frontowej ścianie zajazdu szyld z napisem THE TAVERNERS. Spotkać tu można poza zwykłymi gośćmi, amatorską grupę wędrownych aktorów. Za dawnych czasów budowano oberże w obrębie dziedzińców zamkowych: jeśli dziedzic nie posiadał krużganek, aktorzy chętnie się tam zatrzymywali by — dysponując sceną i widownią — wystawić swą sztukę. Anglia do dziś posiada 4 stałe zespoły „tavernerów” (od tavern — oberża) które grają przez cały rok. Najlepszy z nich wystawił w 1938 r. 100 sztuk dając 2000 świetnych przedstawień. Program, miejsce i terminy przedstawień uzależniają artyści od życzeń publiczności danej okolicy. To też ludność gorąco popiera te imprezy i żywiołowo w nich uczestniczy. Należy już dziś do tradycji ze właściciele browarów finansują noclegi i postoje w zajazdach. Aktorzy jeżdżą własnymi środkami lokomocji i wspólnie pokrywają koszty ko-

stumów. Ostatnio Francuzi zaprosili kilka zespołów na gościnne występy do Paryża. Impreza zakończyła się dużym sukcesem. Teatr tavernerów ma charakter wybitnie społeczny. W latach ubiegłej wojny, gdy życie artystyczne paraliżowała niepewność jutra, aktorzy bawili publiczność oddając dochód na rzecz ofiar wojny. Pamiętali też o młodzieży zrzeszonej w klubach, o uchodźcach. Dawali nawet przedstawienia w schronach. Tavernerzy poza sceną, pracują zawodowo. Są wśród nich lekarze, adwokaci, fryzjerzy, marynarze, handlarze wina itp. Zawód aktorski nie jest łatwy. Wymaga talentu, humoru, solidarności, zapалу do znoszenia niewygód. Szczególnie trudno jest o dobry poziom gry gdy dokuca nieraz głód i zmęczenie. Czy ten rodzaj wędrownego teatru utrzyma się w przyszłości? Chyba tak. Pomoże mu w tym zapal i sentyment jakim otacza go brytyjska publiczność. (L P.)



Swięta Bożego Narodzenia stanowią jedną z rzadkich okazji urozmaicenia monotonnego menu dawnej wsi polskiej. Oto parę przykładów tradycyjnych potraw wigilijnych i świątecznych z różnych okolic naszego kraju.

Na wschodnich krańcach Polski, w wsi Niewino Borowe (pow. Bielsk Podl.) podawano na stół wigilijny smażonego na oleju śledzia, kapustę z grzybami, ocukrzony pęczak z makiem i ocukrowane jagły, dalej podobnie przyrządzone łazanki i ryż, a na ósme danie tzw. *hołotki* (jak sama nazwa wskazuje, jesteśmy już na ruskim pograniczu!), to jest racuszki z pszennej maki pieczone oczywiście na oleju (post!) i podane na słodko. Oryginalną potrawą tego regionu był kisiel z owsianej maki zalewany po ostygnięciu rodzajem kompotu z gruszek lub słodką czarną (zbożową) kawą. Kompot z gruszek i śliwek stanowił dziesiąte danie a kończyła wieczerze fasola podawana bez żadnej omasty.

„Szary barszcz” (polewka mięsna na mącznym kwasie, z domieszką krwi i podrobionej wątroby) i tzw. pieróg, to potrawy spożywane w tych stronach w pierwszym i drugim dniu Bożego Narodzenia.

Inaczej trochę wyglądała wilia w Tyniewiczach Dużych (pow. Hajnówka). Tu po barszczu z grzybami i owianym kisielu podawano surowe śledzie z chlebem. Następnie po gotowanych gruszkach na stole pojawiała się tradycyjna kutia z makiem, a po niej pszenne „bliny” (placki).

Nieco bardziej na południe, w Pobikrach (pow. Siemiatycze) wśród 9 wigilijnych dań figurowały aż dwie odmiany śledzia: marynowany i smażony. Poza tym jednak jadłospis był nader ubogi: kapusta na oleju z grzybami, pierogi, kluski podlane wodą z wygotowanych gruszek, placki smażone, które zapijano herbatą, jagły z makiem, a wreszcie na zakończenie — gotowane gruszki.

Rzecz charakterystyczna że opłatek rozpoczynający wieczerzę wyliczają wieśniacy wszędzie jako odrębną „potrawę” wigilijną.

Ilością potraw bije dotychczasowe przykłady wieś podlaska Repki, leżąca pod Sokółowem. Jeszcze w początkach naszego stulecia nawet najuboższa rodzina w Repkach przygotowywała na stół wigilijny „12 straw”. Niektóre z nich zresztą mogły mieć charakter czysto symboliczny. Były „pamiętką betlejemskich darów złożonych w żłobku przez pasterzy”. Wigilijny posiłek rozpoczynała *kolenda* czyli opłatek. Po nim następowały śledzie w lnianym oleju z cebulą, dalej wódka (tak jest! W Repkach była to ponoć odrębna „potrawa” wigilijna), jagły z olejem i cukrem, kluski pszenne z makiem i ciekranym syropem, podobnie przyrządzony pęczak, kisiel (czasem z olejem!) pierogi z kapustą i grzybami, kapusta, racuszki, kwaśne ogórki z kiszonymi pomidorami, gotowane gruszki, znane

nam już ze wschodniego Podlasia i — stanowiący osobne danie — wiejski kompot czyli „woda — gruszcianka”.

Przenieśmy się teraz na południowy zachód do województwa kieleckiego, na pogranicze Mazowsza. I tutaj istniała tradycja przyrządzania 12 potraw, podobnie zresztą jak na wschodzie — bardzo niewybrednych. W takich np. Chotyziach (pow. Starachowice) dwunastodaniowa wieczerza, to rzadki barszcz z grzybami i kapustą, kapusta, kasza jęczmienna z olejem, jagły z tzw. ptasim mlekiem (zacier z siemienia, z dodatkiem mleka), fasola, groch, paluszki z makiem, inne kluski kartoflane (tzw. pyzioki), pierogi z grzybami lub lnianym siemieniem i tartarowaną kaszą, a wreszcie — gotowane gruszki.

Wigilijne menu tego regionu miało oczywiście szereg lokalnych odmian. W okolicach Radomia np. jedzono „kapuśniaki” to jest gołąbki z kaszy tartaranej. Spożywanie wieclodaniowych wieczerzy posiadało tu również znaczenie obrzędowo-magiczne. Stawianie na wigilijnym stole rozmaitych płodów ziemi zabezpieczało pomyślnie plony. Nic innego jak właśnie obfity zbiór owoców miało zapewnić rozrzucanie po kątach izby gotowanych gruszek w wigilijny wieczór (Czarna, pow. Radom). W pierwsze święto jadało gołąbki z omastą, rosół z ziemniakami, mięso z kaszą, wędliny, ciasta.

W województwie łódzkim w Rzeszycy (pow. Łowicz) dopiero podobno od 20 lat powszechnie spożywa się wieczerzę wigilijną wieczorem. Dawniej zasadniczą kolację jadano dopiero rano. Dania były skromne: śledzie marynowane, inna jakaś ryba, kartofle z

olejem. W Chlebowie pod Skierniewicami przyrządzano ponadto kluski a bogatsi miewali i „paki” smażone na oleju.

Te uroczyste wieczerze wigilijne uderzają nas ubóstwem zestawu potraw. Ale bo też dawna kuchnia polskiego chłopca to dziedzina kultury o wiele bardziej prymitywna niż to sobie naogół wyobrażamy. Nawet w zamieszanych domach dziewiętnastowiecznej wsi, gotowano „proste” potrawy bo... gospodyni innych nie znała. Co najwyżej nagradzano to sobie sutą okrasą. Dopiero pierwsza połowa XX wieku urozmaica kuchnię wiejską. Wzbogacił się wtedy również jadłospis świąteczny.

ZOFIA B. GŁOWA

NA PODSTAWIE MATERIAŁÓW Z ARCHIWUM P.I.S.



Ziemia MATERIAL PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

RECENZJE

W roku 1916, a więc w trzecim roku pierwszej wojny światowej wyszła w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa książka pt. „Wieś i miasteczko” — Materiały do Architektury Polskiej Tom I. Potem wojna się skończyła i zaczęło się tzw. „dwudziestolecie”. Potem „dwudziestolecie” się skończyło wybuchem drugiej wojny światowej. Potem... no tak — już 12 lat minęło od zakończenia takowej. Tom II „Wsi i miasteczka” nie wyszedł i nie wyjdzie. Wsie i miasteczka spłonęły lub zostały rozebrane i zabudowane nową (ale nie nowoczesną) architekturą. Pozostała jedna tylko książka.

Czym ona jest? — Po prostu zbiorem 532 ilustracji poprzedzonych trzema stronicami wstępu, zakończona indeksem I to wszystko? Tak, to jest bardzo wiele. Są to bowiem dzisiaj w znacznej mierze dokumenty — jedynego co pozostało po architekturze naszej prowincji, po architekturze po której przejechały się dwie wojny i sporo głupoty ludzkiej. Zgodnie z tytułem książka ta bowiem nie zajmuje się ani Wawelem ani Starówką, ale architekturą „małą”, architekturą „klasy II”, czyli — mówiąc zwyczajnie — architekturą tzw. Polski B a więc całej niemal Polski.

Stąd choć książka pozbawiona jest głębokich naukowych wywodów uczo-

nych w piśmie, ma wartość nieprzemijającą, ocaliła bowiem dla naszej pamięci wiele bezcennych wprost zabytków.

Oczywiście jest to cząstka całości, cząstka tego co już zginęło i ginie codziennie z czegoś, co zowie się dumnie „skarbem narodowym”. Takich książek mogłoby się ukazać wiele tomów. Może więc któreś z wydawnictw („Arkady” czyli dawne „Budownictwo i Architektura” byłoby chyba najbardziej do tego celu powołane) podejmie tę tak pięknie zapoczątkowaną inicjatywę.

Osobiście nową wersję „Wsi i miasteczka” widziałbym nieco odmiennie niż pierwowzór. Nie wielki tom, czy tomy, lecz szczupłe raczej, ale periodycznie ukazujące się książeczki mniejszego może formatu, ale o wysokim poziomie reprodukcji. Wydawnictwo takie obejmowałoby zarówno zabytki istniejące jak i nieistniejące, tak zdjęcia jak i stare widoki, a poza tym — w miarę możliwości pomiary i rzuty (oczywiście w małej skali). Poza tym teksty: każda ilustracja winna posiadać objaśnienie podające w najwięcej formie (zapożyczony może ze schematu katalogów zabytków) dane o historii, materiale, konstrukcji...

Wiem z własnego doświadczenia jak wiele zabytków niknie każdego niemal dnia: chaty i kapliczki, małomiasteczkowe domy i stodoły. Temu procesowi nikt nie jest w stanie — w każdym razie całkowicie — zapobiec. Może więc w ten sposób moglibyśmy ocalić pamięć o charakterze naszej dawnej prowincji

TADEUSZ CHRZANOWSKI WIEŚ I MIASTECZKO

Uliczka w Hrubieszowie. Fot. T. Chrzanowski



JAK SIĘ UBRAĆ NA WYCIEZKĘ NARCIARSKĄ

Dla kobiet: ładne i praktyczne wiązanie chustki na głowie. Dwa końce chustki krzyżujemy pod brodą i łączymy je węzłem na karku.



Oprócz nieodzownego swetra — kurtka puchowa (sposób jej napełniania omówiliśmy w poprzednim numerze „Ziemi”), która w zupełności zastępuje skafander, posiadając jeszcze tę dodatką cechą, że jest bardzo ciepła i lekka. Zapinana z przodu na zamek błyskawiczny, może być wykończona wełnianym ściągaczem. Reprodukowane obok kurtki napełniane są zagranicznym syntetycznym włóknem zw. „dralonem”. Kurtkę „dralonową” można prać na równi ze zwykłymi tkaninami. Ciężar jej wynosi w przybliżeniu ok. 15 dkg.



Uwaga — skarpetek nie wywijać na cholewkę. Śnieg dostaje się z łatwością do buta, skarpeta nasiąka wodą.

Obok na zdjęciu — model francuskich narciarskich rękawic skórzanych, zaopatrzonych w uzupełniające ściągacze skórzanogumowe oraz elastyczne ściągacze wełniane w przegubach. Ich zalety: ciepłe, nieprzemakalne, umożliwiają swobodny i mocny uchwyt kijka.

OPRACOWANIE
MARIA LECHOWSKA

FOTOGRAFOWAŁ
ZBIGNIEW GUCWA



Spodnie narciarskie jak wyżej na zdjęciu — szerokie i stosunkowo luźne, wpuszczone nieco na but. Spodnie tego typu dają narciarzowi dużą swobodę ruchów. Ponadto w przeciwieństwie do obcisłych i naciągniętych, nie wypychają się na kolanach.



Jeszcze o kilku jubileuszach (por. „Ziemia” nr 9). W roku bieżącym mijają 700 lat od powstania Jarocina, 600 lat od lokacji Łeby, 350 lat od opanowania Nowogardu na Pomorzu Zachodnim przez Stefana Czarnieckiego i 150 lat od szarży polskiej Legii Północnej na to miasto.

Nad jeziorem Orłowo na terenie Warmii i Mazur istnieje mały rezerwat żółwi. Żyje tu 10 sztuk tych zwierząt.



Ostatnio w Szczecinie wyremontowano zabytkowy gmach pochodzący z początku XIX wieku. Mieszczące się w nim Muzeum Pomorza Zachodniego zostało otwarte dla zwiedzających.



Z powodu niesprzyjających warunków zaledwie 3 niedźwiedzie zamieszkuje Tatry Polskie, podczas gdy w Tatrach nad 20.

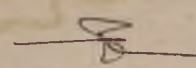


Dla uczczenia pamięci Henryka Sienkiewicza, pod patronatem Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, zostaje zrekonstruowane wnętrze dworu w Oblegorku — będącego niegdyś własnością wielkiego pisarza.

Przedstawiciele Polonii zrzeszeni w Towarzystwie Przyjaciół Biblioteki Miejskiej w Detroit zakupili w Londynie za 250 dol. cenny starodruk — historię Polski do 1596 r. opracowaną przez Mateusza z Mlechowa zwanego Mlechowitą. Zakupiony przez bibliotekę egzemplarz zachował się w doskonałym stanie. Zawiera 379 str. druku i 39 ilustracji.



W Warszawie Spółdzielnia „Polgaz” projektuje w przyszłym roku produkcję turystycznych kuchenek gazowych, których waga będzie wynosiła ok. 4 kg. Zapas gazu wystarczy na 2 tygodnie campingu przy czym litr wody zagotować można na takiej kuchenie w ciągu 4 min.



W roku przyszłym projektują produkcję nowych typów namiotów Zakłady Sprzętu Sportowego w Kętrzynie. M. in. będą szyte namioty typu „Igloo” w których maszty zastąpione zostaną dętkami rowerowymi nabitymi powietrzem.

Na rzece Pasłęce w powiecie lidzbarskim zakończono budowę drugiego ośrodka hodowli bobrów. Hodowlę zapoczątkuje 50 szt. tych zwierząt sprowadzonych ze Związku Radzieckiego. Na Mazurach żyje obecnie na wolności ponad 100 bobrów.

Romański kościół z XII wieku w Koprzywnicy poważnie ucierpiał w czasie ostatniej wojny. Obecnie Polonia kanadyjska zainicjowała zbiórkę na rzecz odbudowy tego zabytku.

Już w przyszłym roku będzie można zwiedzić sale południowe parteru Pałacyku w Łazienkach. Po zakończeniu odbudowy, w Pałacyku znajdzie pomieszczenie Muzeum Wieku Oświecenia.

Rybacki ze Sztutowa pod Gdańskiem wyłowili niedaleko wybrzeży 3-metrową rybę wagi ok. 100 kg. Jak się okazało był to włócznik (xyphius gladius) mieszkaniec ciepłych wód podzwrotnikowych.



Z myślą o przyszłym sezonie letnim Wytwórnia Sprzętu Sportowego w Łodzi przystąpiła ostatnio do produkcji kolorowych domków campingowych.

W roku przyszłym sprzęt ratowniczy Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Zakopanem ma się wzbożyc o helikopter, który posłuży do zwożenia rannych z gór.



We Wrocławiu projektuje się utworzenie Dolnośląskiego Instytutu Naukowego. W zakresie zainteresowań Instytutu wchodzić będą sprawy zarówno przeszłości jak i współczesności Dolnego Śląska — poczynając od archeologii poprzez badania dziejów tej ziemi aż po aktualną problematykę ekonomiczną, demograficzną i społeczną.

W numerze 8 (za październik) wychodzącego w Pradze czasopisma Slovenský prehľad ukazał się informacyjny artykuł Zygmunta Brockiego o pierwszych powojennych książkach wydanych w gwarze kaszubskiej

We wsi Henrykowo na Dolnym Śląsku rośnie najstarszy w Polsce cis. Uczni określają jego wiek na przeszło 1400 lat.

Za barbarzyńskie zabicie w okolicy Makowa Mazowieckiego łosia będącego pod ochroną sąd powiatowy skazał głównych winowajców, Bogusława Gwiazdę na 8 miesięcy więzienia i 32 tys. grzywny oraz Wł. Langowskiego na 6 tygodni aresztu i 3 tys. grzywny.

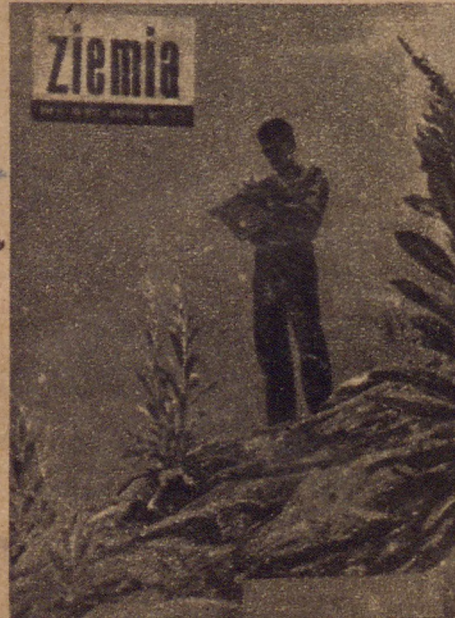
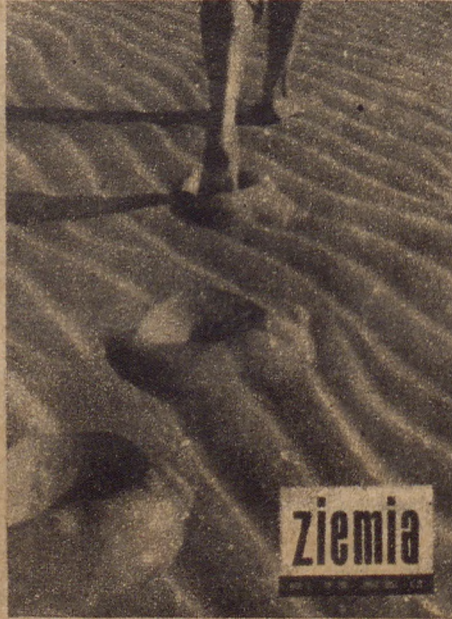
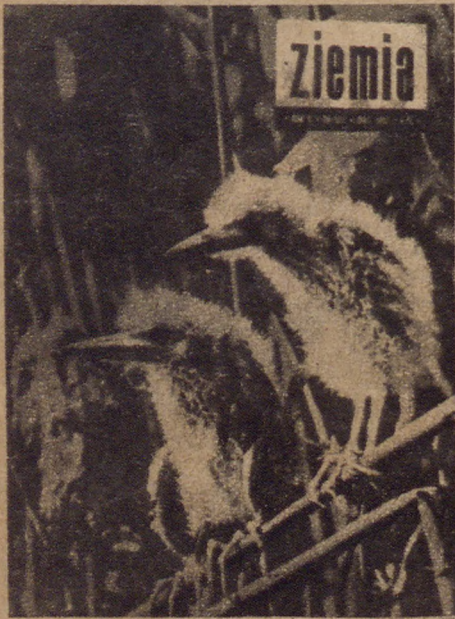
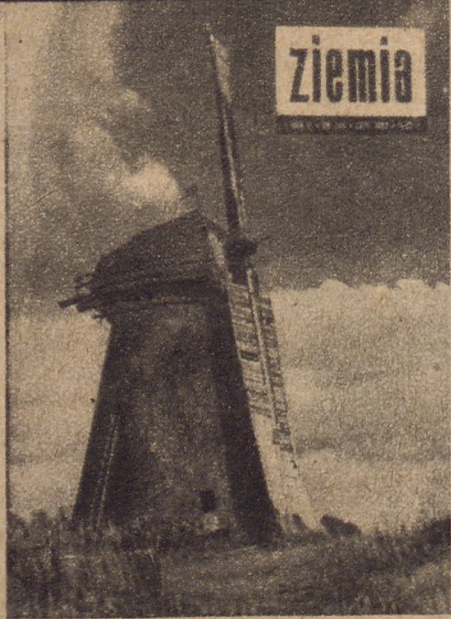
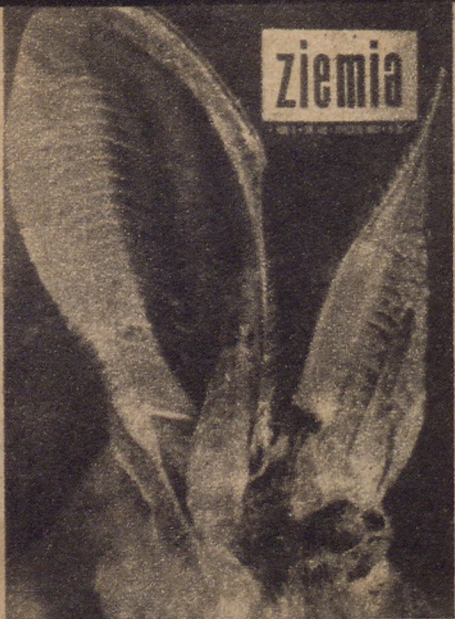
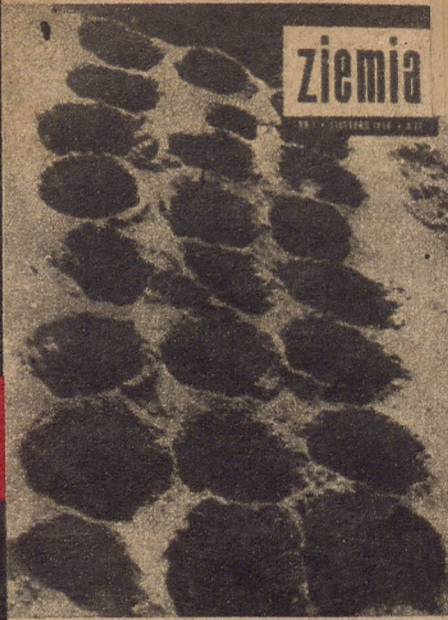


W krakowskim Lasku Wolskim istnieje stale powiększające się muzeum skansenowskie. Obok zabytkowego kościółka z Komorowic koło Bieliska i karczmy z 1821 r., pochodzącej z Pasieki koło Czernichowa, przeniesiony został ostatnio i zrekonstruowany spichlerz z Trzyciąża koło Wolbromia zbudowany w r. 1746.

ziemia

NASZE OKŁADKI

BIBLIOTEKA
W. S. P.
w
Gdańsku
C-III 1094



NR 14
PATRZ
STR. 1